

Dziś w numerze: ● Polska w myśli filozoficznej Zachodu ● Stonka w Sopocie
 ● Herbata znika z biurka ● Tamte lata ● Lament straconego egzaminatora
 ● Kiedy biją w werble ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 35 (449)
 3. IX. 1967 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



JAN BABIŃSKI

Święty Gerstein

W Niemieckiej Republice Federalnej zapanowała nowa moda.

Górze wziął nowy kurs, przy czym ster ujął w swe ręce sam Kiesinger we własnej osobie. W NRF szuka się gorączkowo pozytywnych bohaterów. Maja oni o tym świadczyć, że przeciwko Hitlerowi walczyli nie tylko generałowie, nie tylko demokraci, ale też SS-mani. Tak jest SS-mani, wśród których czołowe miejsce, wręcz honorowe, należy się Kurtowi Gersteinowi. To właśnie Kiesinger, jeszcze jako minister w Wirtembergii, oświadczył publicznie w styczniu 1965 roku:

— Kurt Gerstein walczył z narodowym socjalizmem ze

wszystkich sił i w miarę swych możliwości.

Minęło dwa lata i oto nakładem Castermana ukazała się książka Paula Friedlaendera, historyka, który usiłuje postawić kropkę nad i. To prawda — stwierdza Friedlaender — Kurt Gerstein zasłużył na pełną rehabilitację i słowa najwyższego uznania.

Kim był Kurt Gerstein? W 1942 roku do biskupa protestanckiego Otto Dibeliusa zgłosił się młody lekarz w mundurze SS-mana. Przedstawił się. Nazywam się Kurt Gerstein, jestem człowiekiem głęboko wierzącym i pragnę upadku Hitlera. Biskup nastawił ucha. To jednak co usłyszał, wydało mu się tak nieprawdopodobne, że począł-

kowo żywić podejrzenia, że ten młody człowiek drogą prowokacji nastawia nań sidła. Tymczasem Gerstein zaklinał się na wszystkie świętości że wstąpił do NSDAP z wyrachowania. Choć przystąpił również do SS, to jednak zawsze dochowywał wierności swym religijnym przekonaniom. A mundur SS przywdział celowo. Nosił się z pewnym zamiarem który obecnie biskupowi wyjawiał. Zaczął nienawidzić hitlerizmu w momencie, gdy jego szwagierka chora umysłowo Berna Eberling, padła ofiarą eutanazji.

Uznał, że jeśli wstąpi do SS, wówczas będzie mógł lepiej przyjrzeć się hitlerowskiej maszynie śmierci, aby móc potem zeznawać jako koronny świadek oskarżenia. Udało się. Od pewnego czasu, on Gerstein, jest naczynym świadkiem tego co się dzieje w obozach koncentracyjnych położonych na wschodnich terenach. Proszę

teraz słuchać uważnie.

Gdy skończył, biskup Dibelius był błąd jak ściana.

— Niech cały świat dowiedzie się o tych mordach — zawołał Gerstein do biskupa.

Tak relacjonuje to spotkanie Saul Friedlaender.

A jak zachował się biskup Otto Dibelius? Był wstrząśnięty, przerażony, nie mógł wymówić słowa. Wreszcie, kiedy już doszedł do siebie, oświadczył pełnym namaszczenia tonem, że wszyscy w Rzeszy znajdują się pod stałą obserwacją organów tajnej policji, wszyscy stali się niewolnikami państwa i trzeba się z tym faktem pogodzić. Dibelius rozłożył ręce... Czy jednak naprawdę zeznanie Gersteina było dla Dibeliusa rewelacją? Czy biskup rzeczywiście o niczym nie wiedział? Paryski L'Express, który wraca do sprawy Gersteina w jednym ze swych

Znów obchodzimy kolejną rocznicę Września. Ludzie urodzeni w tym roku osiągnęli wśród nas już pełną dojrzałość, to matki i ojcowie rodzin, wybitni fachowcy, znakomici artyści. Stał się więc rok 1939 odległą przeszłością i Wrzesień, znany ogromnej części naszego narodu tylko z opowieści, tylko z przekazu — odchodzi niejako w historię. A przecież jego wspomnienie nie zatracą wyrazistości. Nigdy nie zapomniony. Ani pokolenie, które go przeżyło, ani następne pokolenia, pomne jego nauk i zdolne do wyciągania wniosków.

Dziesiątki lat jakie nas dzielą od tamtych dni to dystans z którego dziś inaczej widzimy Wrześniowy dramat niżli w pierwszych po nim latach. Jesteśmy w sądach sprawiedliwi, dostrzegamy prócz jeszcze jednej narodowej Drogi Męczeństwa, również i element ogólnowiatowej historycznej sytuacji. Hańba tej klęski jest — o czym już wiemy — hańbą polityków, i to nie tylko polskich, a nigdy polskiego żołnierza. Mówiąc o winnych klęski, pamiętamy również o bohaterach — i tych w cywilnych ubraniach, i tych w mundurach oficerów i generałów. Zliczając hekatombę ofiar, pamiętamy, że to z polskiej broni padły pierwsze w tej wojnie salwy wymierzone w bestię hitlerowską, że drogi naszego wówczas odwrotu, aż po rozpacz klęski, nigdy nie znaczyła zdrada, faszystowski kompromis czy narodziny Quislingów. Mamy za sobą nieszczęsny okres drwin z „bohaterszczyzny” Września i wiemy, że więcej pamięci tych co nagą pierśią osłaniali próg rodzinnej chaty, niżli artystowania tych, co uznali to za czyn szaleńczy.

Lecz właśnie dziś, po tylu latach pora wreszcie zastanowić się czy dokonaliśmy wszystkiego do czego zobowiązuje nas pamięć bohaterów i ofiar Września.

Ziemia łódzka od pierwszego dnia wojny zmieniała się w pole bitwy i cmentarzysko. Na niej rozegrały się najkrwawsze epizody tej kampanii. W jej wioskach, osiedlach i miasteczkach Wehrmacht ukazał swe właściwe oblicze. Teutońska furia tym razem objawiła się w salwach plutonów egzekucyjnych, w sadystycznych morderstwach, w katowaniu starców, kobiet i dzieci. Europa miała dopiero poznać hitlerowski Nowy Porządek. Ziemia łódzka zaznała go od pierwszego września roku 1939 i to w postaci nieodwołalnej bestialskiej. W setkach naszych wsi — od Praszki aż za Łowicz — Niemcy mordowali polskich chłopów, marszrutę niemieckich kolumn wyznaczają wiejskie mogiły, czasem pojedyncze, częściej zbiorowe. Są i takie w których chowano po kilkaset ludzi, ofiar terroru pierwszych godzin okupacji. Nie ukazałoby tych zbrodni całemu światu, jakby zakładając, że polska krew jest tania, może najtańsza. A przecież jesteśmy winni pamięci tych naszych braci coś więcej niż okolicznościowe przemówienie i wrześniową wiązaną kwiatów na mogile. Stało się źle, że nasi historycy nie dostrzegli jeszcze tego problemu. Stało się źle, że wśród dziesiątek i setek wydawnictw martyrologicznych zabrakło choćby jednego poważnego opracowania zbrodni Wehrmachtu dokonanych na ludności cywilnej naszej ziemi w pierwszych dniach wojny. Do dziś nie posiadamy pełnej wiedzy o tych faktach. Cały świat wie o Lidicach — a któż słyszał o dziesiątkach polskich wiosek, których los był taki sam i to już w pierwszych dniach wojny. Cały świat wie o Oradour, ale historia zgłiszcz Radomska i spustoszeń jakie za sobą zostawiała na przedpolach Łodzi ludobójcza maszyna wojenna Trzeciej Rzeszy jest znana bodaj tylko polskim historykom. Nie chodzi o propagandę, spóźnioną zresztą może i z czyjejś winy. Mamy natomiast obowiązek przekazać pełną prawdę o Wrześniu 1939 roku, winniśmy to i swemu narodowi i historykom całej ludzkości. — Również i po to, by nigdy już nie trzeba było napisać, prostując czyjeś kłamstwo, że zapominamy o krwi naszych najbliższych, zamordowanych w latach tej wojny.

Dc. na str. 4



Trzeba było aż pełnych czterech lat, jakie upłynęły od zawarcia Moskiewskiego Układu o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową, aby w dziedzinie pohamowania rozwoju środków masowego zniszczenia otworzyły się pewne, nie przesadzające jeszcze sprawy, ale rokujące nadzieje — perspektywy. Mam oczywiście na myśli przedłożenie przez przedstawicieli Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych jednorazowych projektów układu o nierozpowszechnieniu broni jądrowej. Po dwóch latach rokowań Komitetu Rozbrojenia ONZ, na 325 jego posiedzeniu, projekt przyjął formę dokumentu, który najprawdopodobniej znajdzie się na jesiennej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Droga do jego przyjęcia wyjada się jeszcze długa i na pewno nacechowana będzie wieloma dyskusjami. Mimo to wspólne przedłożenie projektu przez dwa supermocarstwa nuklearne jest wyraźną oznaką postępu, na który długo czekaliśmy. Nie z naszej bowiem winy po pierwszym kroku, jaki uczyniono w sierpniu 1963 r., podpisując Układ Moskiewski, dalsze przedsięwzięcia w kierunku rozstrzygnięcia jednego z podstawowych problemów współczesności, zostały zahamowane.

Z przeogromnego kompleksu spraw, zwanego rozbrojeniem, na plan pierwszy ze zrozumiatach względów wysuwają się kwestia broni nuklearnej. W tym zaś „rozdziale” zagadnieniem bardzo ważnym jest uniemożliwienie jej rozpowszechniania. W obecnym świecie — pełnym niebezpieczeństw i komplikacji wysokiego rzędu — każde powiększenie klubu atomowego prowadzi nieuchronnie do wzrostu zbrojeń i powiększa groźbę nuklearnego konfliktu.

Już przed siedmiu laty, na XV sesji Zgromadzenia Ogólnego przewodniczący delegacji polskiej — Władysław Gomułka proponował:

„Powinniśmy... zobowiązać państwa posiadające broń jądrową, aby nie przekazywały jej innym państwom, ani też nie pomagały im w uruchomieniu własnej produkcji tej broni. Należy też zobowiązać wszystkie państwa, które broń jądrową nie posiadają, aby nie przyjmowały jej od innych państw oraz by nie produkowały i nie przygotowywały jej produkcji na terytorium własnego lub obcego kraju”.

Ta idea, wielokrotnie wyrażana przez europejskie kraje socjalistyczne torowała sobie drogę z dużym oporem. Na liście oponentów przez długi czas figurowały Stany Zjednoczone, które dopiero pod naciskiem opinii publicznej podjęły rozmowy. Jak były one trudne — wykazuje dwuletni okres rokowań. Zbliżenie stanowisk utrudniało przede wszystkim uleganie Stanów Zjednoczonych kołom bożskim. Przypomnijmy, że przez długi okres Waszyngton forsował koncepcję wielostronnych sił nuklearnych, która miała umożliwić NRF bezpośredni dostęp do broni jądrowej. Oczywiście wówczas o nieprolifacji nie mogło być mowy.

Bonn, o czym świadczy chociażby szeroko omawiana na tym miejscu wizyta Kiesingera w Waszyngtonie, i dziś zgłasza do projektu układu wiele „zastřeżeń” i z całą pewnością, kierując się nuklearnymi ambicjami, podejmuje jeszcze nie jedną akcję, utrudniającą jego zawarcie. Sytuacja jednak zmieniła się o tyle, że Stany Zjednoczone nie mogą pozostać obojętne wobec nacisku opinii publicznej, która zaniepokojona rozwojem wydarzeń w świecie, domaga się pohamowania zbrojeń jądrowych.

Czy przedłożony w Komisji Rozbrojenia ONZ projekt ma już postać doskonałą?

Nie. Ciągle pozostaje nie rozstrzygnięta kwestia kontroli, jego postanowień i stąd brakując w nim rozdział III. Pozostałe artykuły mają już jednak w projekcie radzieckim i amerykańskim brzmienie identyczne.

Co przewiduje projekt?

ZOBOWIĄZANIE państw, dysponujących tą bronią, do nieprzekazywania jej komukolwiek w formie bezpośredniej lub pośredniej oraz innych jądrowych urządzeń wybuchowych, a także do niepomagania w jej produkcji.

ZOBOWIĄZANIE państw, nie posiadających tej broni, do jej nieprzyjmowania w jakiegokolwiek formie lub też produkowania we własnym zakresie.

Z innych postanowień projektu wyliczymy:

- podkreślenie, że żaden z artykułów układu nie może być interpretowany jako naruszający prawo do rozwoju badań i produkcji energii jądrowej w celach pokojowych,
- ustalenie trybu zgłaszania poprawek do układu,
- nadanie układowi charakteru otwartego, co oznacza możliwość przystąpienia do niego także po jego wejściu w życie,
- określenie czasu trwania układu jako czas nieokreślony.

Powyżej pisałem, że zgłoszenie wspólnego projektu przez ZSRR i USA jest wyraźnym postępem. Chciałbym jednak przestrzec przed nadmiernym optymizmem. Raz bowiem jeszcze trzeba podkreślić, że na drodze do zawarcia układu pozostają do pokonania liczne trudności.

Z innych bieżących wydarzeń chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na przygotowania arabskiego „szczytu”. Sprawa jest już przesądzona, konferencja szefów państw odbywa się w Chartumie. Znaczenie tego spotkania określają przede wszystkim: osiągnięte przez ministrów gospodarki i finansów w Bagdadzie porozumienie co do dalszej blokady ekonomicznej państw imperialistycznych oraz gotowość pełnego skoordynowania taktyki Arabów wobec Izraela i jego sojuszników.

W kronice „dyplomacji osobistej” odnotujmy natomiast wizytę Josepha Lusa — holenderskiego ministra spraw zagranicznych w Polsce. Rozmawiające strony dokonały przeglądu najważniejszych wydarzeń międzynarodowych oraz przedyskutowały stosunki bilateralne.

W. SŁAWSKI

Tygodnik

Emerytowany generał amerykański, Mark Clark, wyraził przekonanie, że Stany Zjednoczone powinny obecnie rozpocząć działania wojenne przeciwko Chinom.

Katolicki tygodnik francuski „Temoignage Chretien” pisze na temat porozumienia między Jordanią a Izraelem w sprawie uchodźców: Obecnie, kiedy w Jeruzolimie wzrasta napięcie a w Cisjordanii wzmagają się opór, władze izraelskie hamują powrót uchodźców, sabotują go, na wszystkie możliwe sposoby i odmawiają przesunięcia ostatecznego terminu repatriacji. Obawiają się one, jak twierdzą, wypuszczenia przyszłych działaczy oporu. Niemcy w 1940 roku byli bardziej ludzcy. Kiedy okupowali połowę Francji i ustalili prowizoryczną granicę w poprzek kraju, trudną do przekroczenia, niemniej pozwolili wrócić setkom tysięcy uchodźców, którzy uciekli na południe... Państwo Izraelskie, gdy stało się okupantem uwzględniła naukę przeszłości. Chce mieć na terytoriach przez siebie okupowanych tylko baranów. Łatwiej jest ich łupić i prowadzić gdzie chce pan. Na nieszczęście dla Izraelczyków, Jordanczycy nie są rasą baranów. Ci, którzy pozostali u siebie dają wyraz godności wolnego człowieka w ruchu biernego oporu”.

Liczba członków ZKJ wzrosła w latach 1946-1966 z 238.303 do 1.646.618. Pod koniec 66 roku 5,3 proc. ludności Jugosławii było członkami partii, to jest co 18-ty obywatel należał do Związku Komunistów Jugosławii.

W końcu maja bież. roku wyprodukowany został pierwszy hinduski telewizor, konstruowany przez Królewski Instytut Naukowo-Badawczy. Telewizor przekazany został jako dar premierowi Indii pani Indirze Gandhi.

W ten sposób... stopniowo nastąpi zmiana w dotychczasowej równowadze — kiedy to nieprzyjacieli był silny a my słabi i dojdzie do ostatecznego wyniku wojny, kiedy nieprzyjacieli zostanie zniszczony, a my odnieśliśmy zwycięstwo.

Reuter: Jak wynika z informacji docierającej do Wied-



— Dlaczego jeszcze nie założono członkowskiej karty dla Lyndona Johnsona? (Neues Deutschland)

Rząd francuski postanowił „znacznie zwiększyć” pomoc udzielaną przez Francję kanadyjskiej prowincji Quebec w dziedzinie kulturalnej, ekonomicznej i technicznej. Prezydent de Gaulle podkreślił, że chodzi o „udzielenie pomocy Francuzom kanadyjskim w ich wysiłkach na rzecz utrzymania i umocnienia ich osobowości”. Agencja AP komentując decyzję rządu francuskiego, pisze: Jest to wyraźna wskazówka, że Francja zamierza kontynuować swój nacisk na federację kanadyjską i podsycać separatystyczne tendencje wśród Kanadyjczyków francuskich”.

Rozgłoszenia nigeryjska w Lagos podała wiadomość, że rząd federalny wręczył oficjalny protest ambasadorowi USA zarzucając Stanom Zjednoczonym chęć „zbalcanizowania Nigerii” poprzez udzielanie poparcia separatystom z Biafry, by zapewnić sobie i zachodnim sojusznikom tanie źródła ropy.

W piśmie „Kommunist” ukazał się list otwarty grupy radzieckich dowódców wojskowych, uczestników wielkiej wojny narodowej. List podpisany został przez marszałka Rokossowskiego, admirała Isakowa i generała armii Tułienina. Autorzy listu podkreślają wielkie znaczenie wojskowo-patriotycznej edukacji mas. „Chodzi nie tylko o nabycie wiadomości i nawyków wojskowych, piszą autorzy listu, lecz przede wszystkim o wszechstronne kształtowanie obywatela, płomiennej patriotyki”.

Snując refleksje na temat konfliktu blisko-wschodniego chińskie czasopismo Honqiu pisze: Ostatnia wojna przeciwko agresji wykazuje, że aby odeprzeć zbrojny atak imperializmu, narody uciskane nie powinny przyjmować strategii szybkiej wojny, lecz winny zastosować strategię wojny długotrwałej. Tym razem w swym ataku zbrojnym Izrael uciekł się do blitzkriegu na modłę hitlerowską. W obliczu takiego ataku uciskane narody nie powinny zbyt długo przejmować się utratą, lub zdobyciem pojedynczego miasta, czy kawałka ziemi, lecz winny zachować swe własne, skuteczne siły, oprzeć się na siłę mas i ludu i prowadzić długotrwałą wojnę przeciwko

W poczynym Waszym swą siostrą p. Konopczyń ciągu zwiększając zamówienie w nr 28 z dnia 16 sld. Prawda jest również, nią), których ceny detalicznej 1967 r. ukazał się że twórczość jego jest znacznie wahały się w granicach od 13,50 zł do 88 zł. Ogólny koszt dostawy wynosił 4.083 zł.

Prawda jest, że dostaw bardzo małe ilości artykułu ceramicznego w Bełmowie (mimo tego, że chce jest współpracujący ze łamy i chcemy w dalszym

na, dobra pogoda, wzmoczone bodźce materialne dla gospodarstw chłopskich i większa mechanizacja złożyły się na osiągnięcie rekordowych zbiorów zbóż w krajach Europy wschodniej.

Jeden ze specjalistów szwedzkich zajmujący się problemem bezpieczeństwa ruchu samochodowego doszedł w wyniku długoletnich badań do wniosku, że najczęściej ulegają wypadkom samochody o kolorach czerwono-rubinowym, jaskrawo-zielonym. W mniejszym natomiast stopniu samochody o kolorach ciemnych i jasnych. Specjalista ów „odkrył” szereg kolorów, jego zdaniem najbardziej „bezpiecznych”, które niebawem mają być zastosowane przez przemysł samochodowy.

Theodore Sorensen, były doradca prezydenta Kenne-

dy'ego przebywał ostatnio w Związku Radzieckim. Po powrocie do Nowego Jorku Sorensen udzielił wywiadu, w którym oświadczył, że „wojna wietnamska stanowi główną przeszkodę na drodze do poprawy stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim”.



Ky: — Spróbujmy wzbudzić większe zainteresowanie wziętymi wyborami.

Us News and World Report: W przeliczeniu na pieniądze i włożony wysiłek Izrael uczynił dla USA na Bliskim Wschodzie więcej zapewne, niż jakikolwiek z naszych tzw. sojuszników i przyjaciół w jakimkolwiek innym miejscu kuli ziemskiej. Na Dalekim Wschodzie nie znajdujemy prawie nikogo, kto pomógłby nam w Wietnamie. Tu Izraelczycy wygrali wojnę sami z korzyścią zarówno dla naszych jak i dla swoich własnych interesów”.

Agencja UPI powołując się na wiarygodne doniesienia z Kairu twierdzi, że do chwili obecnej, w ramach „czystki” zwolniono z armii egipskiej ponad tysiąc oficerów, w tym szereg osób zajmujących kluczowe stanowiska. 360 oficerów nie tylko zostało zwolnionych, ale i skazanych. Część z nich stanie dopiero przed sądem wojennym oskarżona o niewypełnienie obowiązków, dezercję i lekceważenie rozkazów.

Poronienia osiągnęły różniary epidemii i stały się problemem zdrowotnym zagrażającym życiu tysiącom kobiet Nowego Jorku” — oświadczył przedstawiciel amerykańskiej federacji planowania rodziny. W bież. roku już około miliona amerykańskich kobiet poddało się zabiegowi przerwania ciąży. Koszt zabiegu waha się w granicach od 50 do 2000 dolarów.

W Nowym Jorku powołano do życia nową, trzecią z kolei w Stanach Zjednoczonych, organizację zwolenników senatora Roberta Kennedy'ego, która rozwija działalność na rzecz kandydatury R. Kennedy'ego na stanowisko prezydenta z ramienia partii demokratycznej.

zgodnie z prawdą nami znajdującymi rzeczywisty stan i mogącymi udzielić pełnych informacji. Prawo na pewno nie spowodowałoby wtedy kryzysu, którego i nie potwierdziłoby określenia „zwykły kant cepellowski” tak jak gdyby było ono na no- dzień w naszym słowniku. Ponieważ kandydatura różna. Kantem w tym wypadku jest chyba przekazanie redakcji fałszywych danych, a to jest prawda. Jednym z podstawowych zadań „Cepelli” jest kulturowanie właśnie twórczości ludowej, pokazywanie zapomnianych 32- stokrot walerów kulturowych poszczególnych regionów. Aby to osiągnąć należy do pozyskania twórców ludowych specjalizujących się w różnych dziedzinach — twórczości między innymi gancarstwa. Oczywiście jest, że jednym z poważniejszych bodźców wpływających na rozwój sztuki regionalnej — jest bodziec materialny — odpłatność dla wytwórcy za jego pracę. Dlatego też niezrozumiałym staje się fakt ukazania artykułu, który podając fakty nie-

Spodziewamy się, że nawiązane w trochę niefortunny sposób stosunki zostaną rozszerzone z wzajemnym i pełnym zrozumieniem.

Zygmunt Olszewski dyrektor Jerzy Rajski z-ca dyr. d/s handlowych

LISTY do REDAKCJI

W poczynym Waszym swą siostrą p. Konopczyń ciągu zwiększając zamówienie w nr 28 z dnia 16 sld. Prawda jest również, nią), których ceny detalicznej 1967 r. ukazał się że twórczość jego jest znacznie wahały się w granicach od 13,50 zł do 88 zł. Ogólny koszt dostawy wynosił 4.083 zł.

AMBROISE JOBERT

Wiadomo, że Polska w okresie Złotej Wieki wzorowała się w znacznym stopniu na Zachodzie: luteranckich Niemczech i kalwińskich Francji. Z Italii przybyli do niej antytrynitariusze, jak Faust Socyn oraz jezuita, Hiszpania również dała jej jezuitów. Polska otwarta była dla prądów i myśli Zachodu: przyswajala je sobie i przekazywała częściowo krajom Wschodu: Moskwie i Moldawii. W jakiej mierze była twórcza sama? — Czy ze swej strony wniosła coś do myśli Zachodu?

Język polski nie był znany na Zachodzie i poza granicami kraju mało kto mógł ocenić poezje polskie Kochanowskiego lub wyznanie Skargi. Ale Polacy wiele w tych czasach pisali po łacinie — dużo dzieł w tym międzynarodowym języku znajduje się we Francji w bibliotekach. Są to najczęściej pisma religijne w duchu katolickim, protestanckim lub ekumenicznym.

Francuzi poznali pisma Hozjusza z pierwszych wydań niemieckich. Natychmiast je drukowali: w Paryżu i Lionie, bądź to po łacinie, bądź po francusku. Najniekniejszym wydaniem po francusku jest *Confession de Foi*, 1566 (Wyznanie wiary). Ozdobione jest poematami słynnych poetów Plejady: Antoine de Balif i Pierre Ronsarda. Prawdę powiedziawszy nie tracąc reklama poezje, nie przysparzają sławy ich autorom.

Wszystkie wielkie dzieła Hozjusza były przetłumaczone na język francuski, podczas gdy w Polsce przelożono na język oczysty zaledwie parę jego broszur. Kardynał zbyt często powtarzał, że należy wytepić herezyków, co napędzało odrazę jego rodaków, we Francji natomiast panowało wtedy hasło: — jedna wiara, jeden król, jedno prawo. Toteż na terytorium Francji wyszły 23 wydania pism Hozjusza po łacinie i 15 w języku francuskim (wynależliśmy 3 wydania które nie figurują w świetnej Bibliografii Estreicher'a). W sumie pojawiło się 38 wydań w przeciągu 24 lat, a jak na te czasy — to bardzo wiele. Prace, które Hozjusz pisał w gotyckim zamku Lidzbark, wśród lasów i jezior dalekiej Warmii docierały szybko do Paryża, Lionu, do hrabstwa Bearn u stóp Pirenej, czytali je tam katolicy i hugonoci. Żaden polski pisarz nie zaznał we Francji takiej popularności, aż do chwili pojawienia się Mickiewicza.

Zupełnie inny charakter posiadały rozpowszechnione w Europie *Monita Secreta Societatis Jesu*. W pamphletach tym z 1614 roku Bazyli Zahorowski szuka satysfakcji za wydalenie z Towarzystwa Jezusowego, miesza prawdę z kłamstwem nadzwyczaj zresztą, ku radości wrogów zakonu jezuitów. Broszura ta przedrukowana była zarówno w krajach katolickich, jak i protestanckich. Zapomniana przez pewien czas, została wydana ponownie w Paryżu w 1761 roku, w chwili największego nasilenia kampanii antyjezuickiej uwiecznionej zawieszeniem zakonu. Pamflet cieszył się niestychającym powodzeniem we wszystkich krajach, przez cały wiek XIX. W Grenoble wydał go w 1893 r. pewien eks-benedyktyn.

Jakie miejsce przysłać Zahorowskiemu w literaturze antyjezuickiej? — Ojciec Sommervogel, w XI tomie swojej *Bibliographie de la Compagnie de Jesus* podaje spis wielkich dzieł skierowanych przeciw Towarzystwu Jezusowemu. W pierwszym rzędzie figuruje Eugene Sue, który osiąga rekord 81 szpalt, a wyprzedza nieznacznie Blaise Pascala, któremu poświęcono 74 szpalty. Jak widać, lepszy pisarz niekoniecznie przewyższa więcej czytelników. Dalej — Michelet wraz ze swoim współpracownikiem Edvarem Guinet osiąga 14 szpalt, a Zahorowski 13. Ale nie zapomnijmy, że problematykę to pierwszy podjął w swoich pismach właśnie Polak.

Literaturze protestanckiej Polska dała Jana Łaskiego i Socynianów. Jan Łaski wygłaszał kazania we Fryzji Wschodniej i w Londynie. Historycy angielscy nie omisszali wymienić go wśród cudzoziemców, którzy przyczynili się do oderwania Kościoła Anglii od wiary rzymskiej. Jan Łaski ogłosił po łacinie traktat „*Forma ac ratio*

totae Ecclesiae Ministerii” który został przelożony na język holenderski i francuski ale nigdy nie był powtórnie wydany. Sława Łaskiego, który nie pozostał następców, przyciąga chyba wobec powodzenia Kalwina.

Polska była wraz z Transylwanią krajem, gdzie przeciwników dogmatu Trójcy nie palono na stosie. Faust Socyn i jego uczniowie mogli więc w spokoju rozmyślać i rozprawiać o swoich poglądach, zajmować się ich szerzeniem. Wiele najnowszych badań wykazało, jak duki z Rakowa rozchodziły się w Niemczech, w Zjednoczonych Prowincjach Niderlandzkich, we Francji i w Anglii.

Należy także podkreślić udział Polski w sprawie jednoci chrześcijańskiej i tolerancji. Te dwie idee drogę Erazmowi z Rotterdamu przedstawił i pięknie bronił w trakta-

cji przy Watykanie musiał oznajmić papieżowi, że Henryk IV zdecydował się na tolerancję wobec hugonotów, posel ten usprawiedliwiał swego władce przywołując przykład księcia Sabaudii, który tolerował waldensów w dolinach alpejskich, przykład cesarza tolerującego luteranów w Niemczech oraz króla Polski.

Dla Zachodu Polska była krajem tolerancji. Twórcą prawa międzynarodowego, Hugo Grotius, słusznie pisze: „*Religioni legem imponere velle non est polonicum*” — i gdzie indziej: „*Wolność by myśleć to co się chce i mówić to co się myśli jest oparta u was (w Polsce) na prawie Królestwa*”. Tolerancja polska nie była oczywiście bez skazy, zdarzało się, że kilku nieszcześliwcom torturowano za bluźnierstwo, świętokradztwo czy też z innych powodów. Daleki jestem od usprawie-

barzwańskich (sic) narodów do tego stanu”. A te rzekomo barbarzyńskie narody dawano za przykład Zachodowi. Brat czeski Szymon Turnowski błagał w 1586 i 1593 r. Teodora de Bèze, aby położył koniec walkom między kalwinami i luteranami przez zgodę, natchniona „naszym sarmackim pojednaniem”. W 1614 r. hugonoci francuscy, zebrani na synodzie w Tonnois, nad brzegami Garony, zalecali zawarcie z książętami luteranckimi zgody na wzór polskiego Consensus, na który z naciskiem się powoływali. W Europie w latach 1650—1680, wielkimi głosicielami pojednania wśród protestantów byli: John Dury — ten Szkoła, który się odznaczył swoją działalnością pastorską w Elblągu, a później Polak — Daniel Jabłoński kapelan królów pruskich aż do 1741 r. Można tak więc przez 170 lat śledzić wpływy „*Consensus sive Concordia*” sandomierskiego synodu.

Niektórym umysłom w Europie nie wystarczyło pogodzenie Kościołów protestanckich między sobą, chciano je także pojednać z Kościołem rzymskim, aby odtworzyć jedność chrześcijańska. Jest to prad, który dziś nazywamy ekumenizmem, a który w XVI i XVII wieku nosił miano irenizmu. I tu znów odnajdujemy Hugo Grotiusa i Modrzewskiego. Modrzewski nigdy nie zerwał z Kościołem rzymskim, w którego wierze się wychował, nigdy nie przysłał do żadnego Kościoła protestanckiego. Dażył zawsze do wznowienia jednoci chrześcijańskiej i — jak to często bywa z tymi, którzy chcą pośredniczyć i być arbitrami — brał ciężki obowiązek. Jednakże jego dzieło *De Ecclesia* szeroko rozpowszechnione w Europie, tłumaczone na niemiecki, cytując Cassander, teolog cesarza Ferdynanda i Maksymiliana w rozprawie *Consultatio sur les articles controversés* (Narada na temat spornych kwestii między katolikami a protestantami) z roku 1577. Cassander przytacza z uznaniem różne wyjątki dzieł z Modrzewskiego „człowieka bardzo uczonnego i jak widać bardzo pragnącego zgody i mediacji”. Rozprawa Cassandra była ponownie wydana w 1642 r. przez Grotiusa w jego *Via ad pacem ecclesiasticam* (Droga do pokoju...), do której dodał własne *Adnotacje*, gdzie powołuje się także na autorytet Modrzewskiego.

Grotius nie był odosobniony w swoim kielcie dla Modrzewskiego. Przez jakieś dwadzieścia lat utrzymywał on kontakty z różnymi osobistościami, które starały się wydać ponownie *De Ecclesia*, był to: w Paryżu Hotman de Villiers, kalwin, radca parlamentarny; w Strasburgu — luteranin Barnegger, a na uniwersytecie w Altdorf — humanista Gronovius. Przedłużająca się wojna trzydziestoletnia była jednak coraz bardziej gwałtowna i zaniechano w końcu wydania dzieł wielkiego Polaka — głos jego zanikłby w zgiełku bronii.

Dialog między katolikami i różnowiercami w Toruniu (*colloquium charitativum*) jest najważniejszym osiągnięciem tego kierunku ideowego. Nie ulega wątpliwości, że król Władysław IV uważał za pożyteczną dla celów swojej dyplomacji zwolanie owego zjazdu katolików i protestantów. To nie tłumaczy jednak wszystkiego. Prymas Maciej Łubiński, biskupi oraz ich teologowie sądzili, że pojednanie z protestantami byłoby możliwe w kraju, gdzie nie było męczenników ich sprawy. I czyż to nie słuszne, że takie usiłowania miały miejsce w ojczyźnie Modrzewskiego?

Jakże urozmaicony był wtedy wkład Polski do myśli Zachodu: kardynał Hozjusz — i jego wielki przeciwnik Modrzewski, Socynianie... Takie kierunki, takich ludzi, takie dzieła i myśli mógł zrodzić tylko kraj pełen tolerancji. To właśnie Polska wcieliła w życie hasło sformułowane przez Grotiusa: „*Myśleć, co się chce i mówić, co się my-*

Polska w myśli filozoficznej Zachodu

Niniejszy artykuł pióra profesora Uniwersytetu w Grenoble — Ambroise Joberta rozpoczyna cykl publikacji, jakie drukować będziemy w kolejnych numerach „*Odgłosów*”. Cykl ten poświęcimy w całości kontaktom polsko-francuskim na przestrzeni dziejów, począwszy od średniowiecza.

Profesor Ambroise Jobert, doktor honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego zajmuje się historią Polski już od 40 lat. Jest autorem dwóch francuskich monografi: „*Dzieje Komisji Edukacji Narodowej*” i „*Magnaci polscy a fizjokratyzm w XVIII w.*”; popularnej historii Polski w serii encyklopedycznej „*Que sais-je?*” oraz licznych artykułów poświęconych historycznej problematyce naszego kraju drukowanych w specjalistycznych periodykach francuskich i polskich. Obecnie profesor Jobert pracuje nad książką o problematyce: Polska w dobie kryzysu religijnego XVI—XVII w. Zagadnienia te bada już od lat. Do tego kręgu zainteresowań należy właśnie drukowany tu artykuł, napisany przez profesora specjalnie dla naszego tygodnika.

„*De Ecclesia*” jego uczeń Andrzej Frycz Modrzewski. Dzięki swej mądrości i rozwadze królów Zygmunta I i Zygmunta Augusta Polacy uniknęli wojen religijnych, Szlachta polska proklamowała tolerancję w czasie Konfederacji Warszawskiej i nakłoniła Henryka Walezjusza do przysięgi gwarantującej, że zachowany będzie pokój między poddanyimi, których dzieli wiara. Ambasadorowie Polski posłani do Francji otrzymali od Karola IX obietnicę łagodnego obejścia z protestantami francuskimi, ale król obietnicy nie dotrzymał. Od tej pory hugonoci często powoływali się na przykład Polski, chcąc dowiedzieć, że różnice religijne nie muszą zakłócać spokoju państwa; tak było między innymi za panowania Karola IX w 1574 r. i za Henryka III w 1576 r. A gdy w dwadzieścia lat później ambasador Fran-

dlowania owych wyjątkowo zdarzających się wypadków gwałtu, jeśli się porówna sytuację w Polsce z tym, co się działo w reszcie Europy, trzeba zgodzić się z twierdzeniem Janusza Tazbira, że Polska była krajem bez stosów.

Inna cecha oryginalna Polski był fakt, że różne Kościoły protestanckie, zamiast się ostro nawzajem zwalczać, jak w innych krajach, żyły tu w zgodzie ze sobą. Luteranie, kalwini i bracia czescy związali się zgo da sandomierską w 1570 roku. Ten *Consensus* czyli „*Zgodne rozumienie w wierze a nabożeństwie krześcijańskich Kościołów ewangelicznych*” wywołał sensację na Zachodzie. Teolog z Zürichu, Bullinger, natychmiast napisał do Teodora de Bèze, następcy Kalwina w Genewie: „*Składam dzięki Panu, który doprowadził duchy tych bar-*

Nożycami przez PRASĘ

LITERATURA Z KLUCZEM

Katowicki dwutygodnik „*Fogłady*” występuje w tym naszym odcinku, jak się zdaje, po raz pierwszy. Znajdujemy w nim obszerny artykuł Tadeusza Kijonki „*Proces przeciwko Andrzejowi Brychtowi*”. Artykuł porusza sprawę niebagatelną. Ceniony i znany prozak Andrzej Brycht wydał m. in. trzy opowiadania pod wspólnym tytułem „*Sceny miłosne*”.

Mimo iż niezbyt pieczołowicie obchodził się z faktami i szczegółami, zachował prawdziwie imię i na zwisko (panieńskie) bohaterki. Bohaterka opowiada nia mieszka w niedużej osadzie w Wojskowicach Komornych. Rzecz zrozumiała, że z tego powodu Brycht stał się tam nagle pisarzem powszechnie czytany.

Tadeusz Kijonka dokładnie opisuje, jak dalece Brycht skrzywdził bohaterkę, która bez trudu zdomi i nieznanymi mogą identyfikować.

Znamy wiele przykładów beletrystyki z kluczem. Ale klucz ten różnie może wyglądać. Wypadki najbardziej klasyczne, typowe w ogóle dla beletrystyki: z cech kilku osób rzeczywistych konstruuje się jedną, a więc jest ona w znacznym stopniu fikcją. Karmazynów z „*Biesów*” Dostojewskiego to Turgeniew. Ale Turgeniew i „*Wspólny pokój*” Uniwierskiego — nie chodzi tu nam o skalę sztuki — występuje wiele osób po prostu wymienionych z nazwiska. To już nie klucz, ale wytrych. W dodatku artystycznie bezwartościowy.

Znamy i powieści powojenne z kluczem. Wystarczy wymienić Putramenta. „*Klucz*” jednak nie upo- ważnia do identyfikacji, co najwyżej do domysłów i kawiarnianych plotek.

Niektórzy pisarze łódzcy także lubią postugiwać się kluczem.

W wypadku opowiadania Brychta sprawa oparła się o sąd państwowy. Akt

oskarżenia zarzuca Brychtowi:

„*W miesiącu sierpniu 1966 r. pomówił oskarżycielkę prywatną irenę K. z d. Strzępek o takie postępowanie, które mogło ją poniżyć w opinii publicznej i narazić na utratę zaufania w jej zakładzie pracy i w życiu codziennym wśród społeczeństwa miasta Wojskowie i powiatu bełżyńskiego przez to, że w miesięczniku literackim „*Twórczość*” redagowanym w Warszawie a kolportowanym w całej Polsce i możliwym do nabycia w każdym kiosku „*Kucnu*”, opublikował prace pod tytułem „*Relacja*”, w której to pracy przedstawił oskarżycielkę prywatną jako kobietę bez skrupułów i bez podstawowych zasad moralnych, lekkiego prowadzenia, utrzymująca i w czasie narzeczeństwa i po zamążpójściu stosunki cielesne z różnymi mężczyznami, przez co doprowadziła do kompletnego rozkładu swe gojście małżeńskie i wyrzuciła swemu dziecku, choremu na chorobę Little’a, niepowetowaną krzywdę, gdyż poznawała je odcia i opiekuna, a meża swego, na skutek niedługo i wprost okrutnego postępowania z nim, popchnęła na drogę przestępstwa i wtraciła do więzienia — to jest przestępstwo z Art. 255 § 1 k.k.*”

Dojdzie do rozprawy, która będzie miała walor precedensu. Jak będzie wy-

glądał ten precedens, tego nie wolno nam przewidywać. Omawiając jednak to wydarzenie Tadeusz Kijonka snuje rozważania na tury ogólniejszej:

Pisarz ma prawo do wy najdawniej dla swych postaci książkowych prototypów w życiu realnym, ma też prawo do przetworzenia materiału zaczerpniętego z obserwacji, czy z słyszenia, i do kreowania rzeczywistości nowej, niezależnej od istniejącej. Literatura zawsze tworzyła artystyczne dokumenty świata realnego, wyrażała korzeniai z jego nieprzebranych bogactw. Tak było jest i zawsze będzie — to jej wielki tytuł do chwały i podstawa zaurania. Czynnie stawała też w obronie ludzi nawet potępionych przez społeczeństwo. To było, i jest, świadectwem jej trwa- lej wielkoduszności i głębokiego humanizmu. Ale istnieje granica, której nie należy przekraczać nie imię — jest nim drugi człowiek w obrębie prywatnych ścian, ze swoim osobistym życiem, jeśli z imienia i prawdziwego nazwiska znany, dosiężalny. Tym bardziej, jeśli przypisuje mu się rzeczy, których nie po- pełnił — a są hańbiące.

Z ROZMÓW O MIŁOŚCI

Ktoś kiedys utrzymywał, iż piosenki uzupełniały rzeczywiste życie lub je wzbogacają o treści, któ-

rych mu brakuje. Bardzo możliwe. Pewien młody długowłosy oburzał się przede mna na polskie piosenki z pewnego okresu przedwojennego. Uznał je za niemoralne. Apoteozą wód anaszów, czarne Mańki, pytały panie, co mają pod koszulkami. Dziecięca opiewała przeważnie miłość wysublimowana i nie cielesna, rzadko zdarza się gorzka „*poliska miłość*”. I rzeczywistocie: jak opiewać anaszów, skoro w biały dzień można niewinnie oberwać na centralnych ulicach naszych miast? Po co parliem zadawać wspomniane pytanie, skoro chodzi o miłośniczek? A i toless, gdyby te mode wprowadziły, znalazłby swoje wyznacznynie.

Cóż więc dziwnego, że „*Zycie literackie*” od kilku numerów zamieszcza wypo- wiedzi na temat miłości. Zawiera się w tym fakcie tesknofa do tego piękno- stanu — emocjonalno-ducho- wego, o który podobno co- raz trudniej. W dodatku coraz trudniej o niego w literaturze, w sztuce. Zam- iast miłości, spotykamy się z seksem.

Na taki temat można nieskończenie, zwłaszcza, iż wiele przejawów współ- czesnego życia obyczajowe- go budzi głęboki niepokój. Ale już „*pocziwy*” Prus martwił się sytuacją miłości, która — cytując z pamięci — w wieku parę i elektryczności lekciała przedko i zabierała kogoś

da. Dziś czasy Prusa to romantyka. Przynajmniej jeśli chodzi o miłość.

Ale stąd płynię wniosek, że nie powinniśmy być zde- cydowanymi pesymistami. Mimo iż niepokój o życie emocjonalne, a nawet w ogóle o treść współczes- nych imponderabilów jest uzasadniony. Zrozumienia w wielu dziedzinach życia, których jesteśmy świadkami lub uczestnikami, mogą się równać wywołaniu.

Z głosów przynoszonych przez krakowski pismo, przytoczmy jeden, należą- cy do Marii Kuncewiczowej. Jej artykuł nosi tytuł „*Ponad trupami roman- tyzmu*”. Wskazuje ona, że serwacje znakomitej piar- ki dotyczą przejawów zachodnich. Niemniej, zesta- wia je i z rodzinnymi.

Trzymam się wyrażnie ruchów młodzieży dyktowa- nych przez erotyzm, z któ- rym w pewnych wypad- kach łączy się pacyfizm, w innych — agresja i terror. W Polsce obie tendencje są widoczne — wegetatyw- na i awanturująca. Hamu- cem w obu wypadkach wy- daje się tradycyjne po- szanowanie ideałów spo- łecznych, silna jeszcze więz- rodzinna i twarde warun- ki bytu które i ogranicza- ją korzystanie z narkoty- ków i tamują swobodę ru- chu. Niestety, takim nar- kotykiem okazuje się wód- ka, co przechyla szale na stronę chuliganów — „*roz- róby*” w Polsce, z erotyz- nymi włącznie, najczęściej

mają charakter pijacki. Oczywiście, prądy krancowe są zawsze najjaskraw- sze, dlatego łatwo jest wziąć za całość zjawiska jego kolorowy utatek. Onak ekscesów istnieje nor- malny tryb życia normal- nie zdyscyplinowanego oś- lu. Ci młodzi zazwyczaj traktują miłość jako wstęp do małżeństwa i zenis się wcześniej, co utrudnia za- rowno studia, jak zarobko- wanie.

KULISY

Jeden z najpoczytniej- szych tygodników. Bawiac przegadaniem w Warszawie, kupilem do poclugu numer tego pisma, które na na- bywców nie czeka długo w kioskach. No bo, proszę państwa, to jest dopiero serwis prasowy! Oto tytu- ły z tego numeru: Komu nie podobała się usta Me- liny Mercouri — Jesienne igraszki — Prestiż pod gr- szą — Złodziejka hotelowa pod lampą kwarcową — Sen zimowy zamiast narko- zy — Jacht w ogródku — Młasto na plaży — Koniec klanu braci Guerlich — Zycie bez zyciorysu... Za same tytuły warto by- ło zapłacić marne trzy zło- te! Ale raz do roku!

JAN OLECHNO

STONKA W SOPOCIE

Wszyscy znajomi pytają mnie czy ten festiwal był tak samo nudny w Sopocie jak w telewizji. Nie — odpowiadam — bo w Sopocie był w naturalnych wolochach i miał dodatkową atrakcję. Nie da się jednak zaprzeczyć, że po sopockim lesie wiało nie tylko sierpniowym chłodem, ale też przeciętnością i nudą. Siódmy festiwal był prezentacją przeciętności mniej lub bardziej poprawnej. Miał wykonawców interesujących i ambitnych jak Francuzka Jacqueline Dulac, Gruzinka Gjulji Czochei, Rumunka Dolina Badea, Holenderka Trea Dobbs, Amerykanka Leonda, Kanadyjczyk Donald Laurence, Niemiec Peter Rubin czy Irlandczyk Dicke Rock. Ale miał też zdecydowane nieporozumienia jak TUNEZYJCZYK Nour Fawzi, zaprezentowany jako wykonawca, kompozytor i autor tekstów, a pozbawiony głosu i słuchu, czy innego rodzaju pomyłka jak Dunka Gertrud Splid raczej diva operetkowa niż piosenkarka. W powodzi przeciętnych piosenek i przeciętnych wykonawców werdykty jury nie budziły większych sprzeciwów — nie było w czym wybierać.

Najsłabszą zaś stroną festiwalu był brak indywidualności artystycznych. Dziś w powodzi różnego rodzaju wykonawców, gdy piosenkarze mnożą się w postępie geometrycznym, aby się wyróżnić trzeba reprezentować jakąś indywidualność, własny oryginalny styl, wybijający się ponad przeciętną poprawność wykonawczą. Caterina Valente ma do perfekcji opanowane rzemiosło, znakomita technika wykonawcza, jej występ był jednak w końcu nudy. Chyba czuje to sama i dlatego wlezała do programu swego cyrkowego brata, który chwala niebiosom gra tylko na klawirze, a nie na przykład kontrabasie, bo jakież by miał wówczas trudności z przetrzymaniem instrumentu przez nogę. Caterina Valente nie reprezentuje indywidualności. W przeciwieństwie do młodego jeszcze piosenkarza Udo Jürgensa, który jest indywidualnością artystyczną, a na dodatek wie kiedy zejść ze sceny. Tylko indywidualność dziś się liczy. Można imitować i powielać Valente osiągnawszy jej stopień opanowania rzemiosła, nie można imitować Ewy Demarczyk, bo jej sztuka jest niepowtarzalna.

PO CO NAM TO BYŁO?

Organizatorzy imprezy wmawiają sobie i innym, że za rozwojem ilościowym festiwalu idzie także wzrost jakościowy, wzrost prestiżu i rangi artystycznej. Zapraszani na konferencje prasowe poszczególni wykonawcy, prowokowani w tej sprawie do wypowiedzi, grzecznie potwierdzali, że Sopot to jeden z najważniejszych festiwali tego typu w Europie. Dlaczego więc po raz siódmy z małymi wyjątkami średni poziom wykonawczy, nieznanie nazwiska, a w tym siódmym słabszy poziom niż w poprzednich? Odpowiedź na to dał dziennikarz austriacki G. Hattauer, coroczny sprawozdawca festiwalowy, który jest mniej kurtuazyjny, ale to bardziej szczerzy. W ubiegłym roku

zadał szereg pytań, na które otrzymał tzw. odpowiedzi wymijające, w tym roku już nie pytał. Jego zdaniem Sopot nie jest atrakcją dla zagranicznych piosenkarzy. Brak podstawowych wygód w hotelu (wieloosobowe pokoje, zła obsługa), małe honoraria za występy, niemożność sprzedania własnych nagrań nie sprzyjają zainteresowaniu imprezą w ogóle. Jej niesprecyzowany charakter: konkurs i na utwór i na wykonanie nie sprzyja uczestnictwu wykonawców większego kalibru. Uznana i sławna gwiazda nie może zaryzykować pokonania jej przez nieznaną piosenkarkę prezentującą wyższe artystycznie utwory. Organizatorzy festiwalu sopockiego muszą zdecydować się: albo konkurs na piosenkę, albo konkurs na wykonanie, czyli impreza widowiskowo-rozrywkowa.

Do Sopotu przyjeżdżają gwiazdki drugiego blasku, lub debiutanci, którym zależy na zaprezentowaniu się przed szerszą widownią. Gwiazdy nie mogą pozwolić sobie na ryzyko porażki w szerszym. Jest to reguła obowiązująca na obu półkulach.

DZIWIWY JEST TEN ŚWIAT

Impreza sopocka rozrosła się ilościowo. Uczestniczyli w niej przedstawiciele 29 państw mimo negatywnych wpływów wielkiej polityki (brak przedstawicielki Grecji, spóźniony przyjazd przedstawiciela ZRA). Dziennikarz austriacki ma rację, nie wie jeszcze, że organizatorzy zastanawiają się czy miejscem dalszych festiwali będzie Sopot. Miasto trzeszczy w czasie festiwalu w tzw. szwach i dalszego ilościowego wzrostu festiwalu nie wytrzyma. Sporo w tej sprawie wyjaśniło nam spotkanie z ojcem miasta przew. Prez. Bancercem. Otóż:

■ Przed wojną Sopot miał 26 tysięcy stałych mieszkańców, dziś ma ich 45 tysięcy. W ciągu sezonu zjeżdża tu około 600 tysięcy urlopowiczów, a w tym roku liczba ta będzie znacznie większa. To wyjaśnia w pewnym stopniu trudności lokalowe i gastronomiczne (choć apropracja była w tym roku bez zarzutu). Cena jednoosobowego pokoju dochodziła do 100 zł za dobę.

■ Sezon letni nie przynosi miastu dochodów. Deficytowe jest lato (wpływy od 700 tysięcy do 1.200 tys. zł, eksploatacja i bieżące remonty do 1.200 tys. zł rocznie, remonty kapitalne, przeprowadzane co 2-3 lata — 2 i pół miliona zł). Deficytowe są plaże, miasto dopłaca do nich do 200 tys. zł rocznie. Deficytowa jest Opera Leśna, miasto ją utrzymuje, nie ma natomiast żadnych dochodów z festiwalu.

I od razu wszystko staje się jasne. Ze wczasowicze nazywani są przez miejscowych stonka, że Sopot jest najbrudniejszą z perel Bałtyku, że zaśmiecone jest całe miasto, że brudne są plaże, na których co krok ktoś kaleczy sobie nogę tłuczonym szkłem, że dojazd do Opery Leśnej jest prawie nie możliwy, że część ławek stoi pod gołym niebem, że szwankuje oświetlenie terenu i tak dalej i dalej.

Sopot nie rozbudowuje się w sensie turystyczno-wczasowym dostatecznie szybko. Wprawdzie ojcowie miasta cieszą się ze zlikwidowania trudności z zaopatrzeniem w wodę, gaz i światło, ale dla przyjeżdżających, szczególnie zagranicznych gości, jest to żadna rewelacja. Ich denerwuje że mieszka kaja w prymitywnych warunkach, że na obiad wyczekują godzinami w kolejce. Ojciec wie miasto odnotowała wzrost liczby „łóżek hotelowych”, ale wzrost ten osiąga się głównie przez przerabianie pokoiów 1-osobowych na 2-osobowe, 2-osobowych na 3-osobowe i tak dalej, co polega na wstawianiu do tych pokoiów łóżek polowych.

Nie jest to oczywiście wina miasta. W planach rozwoju Sopotu nie ma budowy nowych hoteli, zakładów gastronomicznych, urządzeń higieniczno-sanitarnych itd. A w każdym razie nie ma w stopniu, który zapewniłby choćby tylko gościom festiwalowym jakieś takie kulturalne warunki bytowania, w stopniu który pozwoliłby na przekształcenie Sopotu w wielki ośrodek wypoczynkowy o znaczeniu i poziomie europejskim. Czy w takiej sytuacji można pozostawić Międzynarodowy Festiwal Piosen-

ki w Sopocie, który złośliwi nazywają Sopotem? Czy przenieść do innego miasta, które poddało obowiązkowi gospodarza? Wiele, zbyt wiele względów przemawia za pozostawieniem imprezy tutaj, a jednym z podstawowych jest siedmioletnia tradycja. Ale wówczas trzeba w to miasto zainwestować. Kto to ma robić? Choćby w części ci, którzy z festiwalu żyją i na festiwalu zarabiają. A tacy są na pewno. Liczba miejsc w amfiteatrze Opery Leśnej wynosi około 5 tysięcy. Większość biletów sprzedawano w tym roku po 100 zł, niewiele po 80 zł, a stojące (wykupione do ostatniego) po 60 zł. Proszę to pomnożyć przez cztery. Nie mówiąc już o reklamach, którymi amfiteatr ozdobiłoby był niczym stadion sportowy, a wiele z nich miało zgnęły zapach zachodniej waluty. Organizatorem festiwalu jest Pagart. Aluzja jest chyba jasna.

Jak festiwal festiwalem Dzień polski przy nosił zawsze wiele niespodzianek. Przez kilka lat były to niespodzianki typu: alez my mamy wcale dobre piosenki. Zagraniczni wykonawcy dzięki interesującemu wykonaniu i dobrej aranżacji utworu odkrywali nam naszą rodzimą zapoznaną twórczość rozrywkową. Tak było np. z piosenką „Dowiedzenia Teddy” w wykonaniu Holendra. W tym roku takich rewelacji nie było. Odkrycia miały raczej znaczenie pejoratywne. Podczas próby w dniu polskim obserwatorzy ani rusz nie mogli zgadnąć co śpiewa Leonda. Nie rozpoznał również Andrzej Mundkowski, choć zna się na polskiej piosence. Co było o tyle ciekawsze, że Leonda śpiewała „Jawność” jego kompozycji. Leonda przyjechała tylko z gitarą, na której sobie akompaniowała. Podobno skradziono jej z samochodu, tuż przed wyjazdem, wszystkie nuty, a specjalnie polskiej piosenki. Wrodzona podejrzliwość każe mi przypuszczać, że Leonda po prostu lepiej czuje się z gitarą niż z orkiestrą, tylko nie chce się do tego przyznać.

Co nie umniejsza wcale walorów polskiej piosenki i być może nadejda czas kiedy kieszonkowi melomani będą kradli nie tylko z samochodów nuty naszych piosenek. Tegoroczny Sopot wykazał najjaśniej może rozwój polskiego piosenkarstwa. Dorównało ono do poziomu europejskiego, podniósł się znacznie poziom wykonawczy, a najsłabszą przez wiele lat stroną — instrumentacja orkiestrowa jest dziś na ogół stroną bardzo mocną. U gości zagranicznych największym powodzeniem cieszyła się w tym roku piosenka „Powróć się tu” zrealizowana przez pięciu uczestników. Dwóch na szczęście zrezygnowało, ale i tak słuchacze jej trzy razy można było usłyszeć stwierdzając, że Irene Santor nikt nie dorównał. A swoją drogą co to będzie jeśli kiedyś wszyscy wykonawcy zgłoszą jedną piosenkę?

A KIEDY WSZYSTKO ZGAŚNIE

I w ogóle pod wieloma względami stajemy na poziomie europejskim. Nawet w dziedzinie reklamy. W Sopocie każdy lansował co mógł. Impresaria lansowali swych podopiecznych, ci którzy nie mieli impresariów lansowali się sami przez rzetelne piosenkarstwo albo też uśmiechy, całuski, koziołki, foty i plakaty. W polskiej ekipie najsukuteczniej lansował się redaktor Lasota z Telewizji, który przez cztery dni ruchem wahadłowim krążył nieustannie przed estradą, prezentując publiczności na zmianę do prawy, to lewy bokobród. Miejmy nadzieję, że będzie z tego interesująca 3-minutowa audycja do „Pegaza”. Szczególny sposób reklamy znalazła Kasia Sobczyk, która telegraficznie zawiadomiła organizatorów festiwalu, że nie zaśpiewa „Trzynastego” ponieważ zerwała stosunki z autorami piosenki. Niektóre dzieci dorastają bardzo wolno.

A w ogóle to ten festiwal był taki więcej chorobowy. Niedomagała szczególnie pleć słaba, to znaczy mężczyźni. Lucjan Kydryński zapowiedział na wstępie, że jest chory. Czesław Niemen w dniu płytowym zwierył się swojej publiczności, że nie może śpiewać bo jest chory, co nie było całkiem

ścisłe, ponieważ regulamin zabraniał śpiewania. Henryk Debich był naprawdę chory ale nikomu tego nie mówił. W trzecim dniu festiwalu epidemia ogarnęła podobno 50 procent uczestników. Jedni chorowali na gryppę inni na rozstrój żołądka, a co bardziej oryginalni na skurez gardła. Złośliwi twierdzili że są to skutki życia pozafestiwalowego, ale to nie zostało potwierdzone.

Zycie pozafestiwalowe, tym razem mam na myśli tzw. imprezy towarzyszące, były zresztą bardzo bogate. Recitale Demarczyk, Rawik, Młynarskiego, Połomskiego, Niemena, no i gości: Valente i Jürgensa. Także jazzowy non-stop oraz rewla mody z koncertem rozrywkowym w muszli na molo, gdzie opowiadano kawały żołądkowe z aktualizowanej serii podwójnej. Publiczność pękała ze śmiechu.

Wśród naszych uznanych solistów piosenkarzki uczucia mieszane budzi od pewnego czasu Czesław Niemen. Rzeczywiście jest to zjawisko w naszym piosenkarstwie dość specyficzne. Bo przecież ma on w historii polskiej piosenki kawał miejsca i to wcale nie ostatnie. Jest muzykiem utalentowanym i wszechstronnym, kompozytorem, wykonawcą, autorem tekstów. Nosił się kiedyś normalnie i śpiewał kulturalnie. Teraz występuje ze swym zespołem „Akwa rele”, którego nazwa uzasadniona jest nie tyle muzycznie co kolorystycznie, całość wygląda mniej więcej jak grupa przebrańców na ostaki. Sam Niemen stylizuje się zewnętrznie, na coś pośredniego między Ondraszkim, a Bohunem, a wykonawczo pod pewnego rodzaju nie tyle publiczność co publiczke. Czego dowód mieliśmy na festiwalu. Wycie grupy jego entuzjastów towarzyszyło nie tylko jego występowi, ale również zapowiedzi następnego numeru programu. Oraz występowi Łucji Prus, która zachowała się wręcz bohaterko a także laureatce dnia płytowego Ewie Pilarovej. Awanturę zlikwidowała milicja, która dostała brawa od burzliwej publiczności. Jeśli o taką popularność chodzi Niemenowi, to można złożyć kondoleniec.

NOSTALGIA

Najmilszych eksperymentów dokonują organizatorzy festiwalu na niwie doboru konferansjerów. Trudno dziwić się złej formie Lucjana Kydryńskiego jeśli co roku zmienia mu się partnerkę, choć z góry wiadomo, że najlepsza i dotychczas nie pokonana była Irena Dziedzic. Lucyna Winnicka miała przepiękne toalety, ale nie powiedziała kto je szył, choć pare milionów kobiet przy telewizorach interesowałyby to znacznie więcej niż wiadomości, że suknie Jacqueline Dulac szył sam Cardin, bo u Cardina bywamy rzadko. Styl konferansjerki zaprezentowała Winnicka zbliżony nieco do stylu prezentowanego w swoim czasie przez Elżbietę Czyżewską tyle, że myliła się częściej i bardziej była tym ucieczona. Podobno Marcello Mastroianni też nie może nauczyć się angielskiego tylko że jest konsekwentem i mówi w tym języku dwa słowa: yes i wylicznicie gdy jest do tego zmuszan.

POWRÓCISZ TU

Stonka wyjechała z Sopotu. M... odetchnęła z ulgą. Miasto spuszcza... szkody i deficyty. Parart oblicza zyski, dochody i apanaże. Impreza tkwi w ślepiem zauku organizacyjno-artystycznym. Kto umie czerpać naukę z doświadczeń wie, że VIII Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie znow będzie konkursem-melanżem, przegladem przeciętności, kraszonym występami renomowanych sław pozakonkursowych. Ze za kulisami słyhać będzie narzekanie na złe warunki bytowania w Sopocie, że organizatorzy obiecują uczestnikom lepsze warunki i lepszą obsługę, a dziennikarzom dostęp do maszyn do pisania i telefonów — oczywiście na IX Międzynarodowym Festiwalu Piosenki. Zaś redaktor Glat tauer z Wiednia będzie miał okazję do zadania kilkudziesięciu pytań lub wylosowania kilkudziesięciu uwaz. Które zostaną słownie odnotowane i troskliwie wyrzucone do kosza.

Święty Gerstein

Dc. ze str. 1

ostatnich numerów, twierdzą, na pewno służyć, że można mieć co do tego poważne wątpliwości. Niemożliwe, by Dibelius nie był już uprzednio poinformowany o masowych mordach dokonywanych w obozach zagłady. To zupełnie wykluczone. Biskup wiedział, Pastory też wiedzieli. Doskonale w tym wszystkim orientowali się też zwykli parafianie.

Ktoś transporty organizował, ktoś je konwojował, ktoś przetaczał wagony na zwrotnicach, ktoś pociąg prowadził. O wyszycie do komór gazowych wiedzieli kolejarzy, strażnicy, także robotnicy fabryk zbrojeniowych, które więźniów zatrudniały. Setki tysięcy ludzi wiedziały o wszystkim od samego początku. Swego czasu Leon Poliakow opublikował niezwykle ciekawe zeznania Niemców którzy w tamtych czasach przejeżdżali w pobliżu Oświęcimia. Ci Niemcy stwierdzili, że podróżni wychylali się z okien pociągu, by zobaczyć „jak najwięcej”. Oświęcim i krematoryjne piece stanowią

wówczas rodzaj turystycznej, dla Reichsdeutschow, atrakcji. Teza jakoby naród niemiecki nie wiedział o istnieniu obozów koncentracyjnych i dokonywanych tam mordzie jest nie do utrzymania.

Jeśli więc szary obywatel Trzeciej Rzeszy czuł dym nosem, to jak można przypuszczać, że kościelna elita nie dostrzegala co się święci?

Biskupi nie tylko znali część prawdy, lecz znali ją całą, bez żadnych osłon i w najdrobniejszych szczegółach. Ostatecznie służba kościelna zawsze była świetnie zorganizowana. Byłoby nonsensem twierdzić, że duszpasterze, zawsze czujni i uważni, nagłe ogłuchli i oślepli. Raporty duchownych szły różnymi kanałami. Biskupi zachowywali jednak publiczne milczenie. Prawdą jest również, że najważniejsi stali listy — w których wyrażał swe zaniepokojenie — do hitlerowskich bonzów. Do Hitlera również. Ale znowe publicznego milczenia przerwał tylko biskup Lichtenberg. On jeden zdecydował się na akt odwagi, dowiódł charakteru i siły przeciwności. Potępił zbrodnię hi-

terowstwie publicznie z ambony berlińskiej katedry. Natychmiast aresztowany, zmarł w 1941 roku w drodze do obozu w Dachau.

Od tego czasu nastąpiła era kościelnego milczenia.

Niemieckim biskupom strach zarygował usta. Umilkli.

Gerstein chciał o wszystkim poinformować świat. Czyżby świat nie wiedział? Bzdura. Jeszcze jaka. Rzady krajów alianckich od pierwszych dni były dokładnie poinformowane o straszliwych zbrodniach w obozach masowej zagłady. Wiarygodne raporty nadchodziły z różnych źródeł. Ścisłe i całkowicie pewne sprawozdania nadsyłała zwłaszcza genewska agencja Światowego Kongresu Żydów. Drobiazgowo relacje trafiały również do rąk podsekretarza stanu w Waszyngtonie Sumner Wellesa.

Te doniesienia wydały się jednak amerykańskim politykom mało prawdopodobne, wyolbrzymione i tendencyjne. Niemcy? Naród poetów i filozofów, naród wielkich wynalazców i muzyków, ten naród miaby być zdolny do takiego barbarzyństwa? To chyba propaganda, której celem jest szybkie wciągnięcie Stanów Zjednoczonych do wojny. Sumner Welles polecił więc zweryfikować nadchodzące wieści i na razie

niczego na ten temat nie publikować. Weryfikacja raportów trwała 3 miesiące, do końca 1942 roku. W międzyczasie zdążyło zagazować milion Polaków, Żydów oraz więźniów wielu innych narodowości. Wreszcie wybuchła bomba. Informacje o obozach śmierci odpowiadają prawdzie. Pod ciężarem wciąż nowych faktów przynęły ostatnie wątpliwości.

Pod koniec 1942 roku Anthony Eden przyjął w Londynie Jana Karskiego, wyślanca polskiego podziemia.

Potem, na specjalnej audycji rozmawiał z Karskim prezydent Roosevelt.

Nie miejsce po temu, by rozwodzić się nad ideologią Karskiego. Tenże Karski napisał zresztą pasjonującą książkę pt. „Story of a Secret State”, która ukazała się w Londynie przed zakończeniem wojny. Jest to dzieło, które czyta się jednym tchem. Karski przedarł się w przebraniu estońskiego SS-mana do obozu zagłady w Bełżcu, o ile dobrze pamiętam. Był pierwszym wtedy człowiekiem, który widział z bliska nazistowską maszynę śmierci w działaniu, wyszedł z obozu cało i po nieprawdopodobnych perypetiach, także dramatycznej ucieczce z rąk Gestapo, przedostał się na Zachód. Nie można było Karskiemu nie wierzyć. Po-

kazywał Rooseveltowi ślady po torturach, jakie zniósł w gestapowskich katowniach. Świat zatem wiedział.

Rzeczy mocarstw zachodnich były o wszystkim świetnie poinformowane.

Jakie więc podjęto kroki, by uratować miliony więźniów pedzonych pejem i kołba do komór gazowych? Eden zdecydował się pojechać na konsultacje do Stanów Zjednoczonych. Prowadzono je przez cały 1943 rok na najwyższym szczeblu. Miliony Żydów mieszkających w Nowym Jorku, Chicago, Detroit, Los Angeles i innych najważniejszych miastach Stanów Zjednoczonych. Głosy żydowskich wyborców miały dla amerykańskich polityków — mają zresztą po dziś dzień — rozstrzygające znaczenie. Politycy nie mogli się z tym nie liczyć. Dlatego też sekretarz stanu Cordell Hull nalegał na Edena, w sposób raczej gwałtowny i bezpardonowy, by Wielka Brytania użyła wszystkich wpływów dla uratowania choćby części europejskich Żydów. Eden działał na zwłokę. Kluczył, manewrował, unikał wiążących zapewnień.

Wreszcie postawił veto. Anglia ma związane ręce. Palestyna znajduje się pod brytyjskim mandatem, to prawda, ale Wielka Brytania już w 1939 roku wprowadziła dla Ziemi Świętej drażniące

ograniczenia imigracyjne. Słowo się rzekło. Anglia musi też brać pod uwagę nastroje ludności arabskiej. Jeden nierozważny krok może wywołać reakcję łańcuchową o nieobliczalnych następstwach. Anglia nie ma więc zamiaru ułatwiać roboty hitlerowskiemu agentem na Bliskim Wschodzie. Eden powrócił do Londynu. Wkrótce potem rząd Jego Królewskiej Mości wstrzymał transfer wielkich funduszy z Anglii do Szwajcarii. Zebrano je dla wykupu „Oświęcimia”, niektórych przynajmniej Żydów. Wreszcie głębia sprawa z ciężarówkami.

Dlaczego? Przecież losy wojny dawno już zostały rozstrzygnięte. Rząd tajemniczy uchylił lord Moyne, wysoki komisarz brytyjski w Egipcie, w wywiadzie udzielonym wysłannikom „Jewish Agency”.

— fe miliony Żydów. Co mielibyśmy z nimi zrobić? Gdzie ich podziąć?

Anglicy odmówili też obrzucenia bombami komór gazowych w Oświęcimiu. Żmuczając się względami natury technicznej.

No cóż, nie pierwszy raz Brytyjczycy dowiedli, że unikają inwestycji w przedsięwzięcia, które im nie przyniosą szybkiego, pewnych i jasno określonych dywidend. Interes Anglii przede wszystkim. Reszta to bzdurne sen-

Herbata znikła z biur

W tym mieście jest trzy czwarte miliona ludności i aż 30 tys. pracowników pilnujących, żeby mieszkańcy mieli w domach wodę i gaz, żeby funkcjonowała kanalizacja i tramwaje, a żłobki i przedszkola pracowały sprawnie. Są to pracownicy różnorodnych miejskich przedsiębiorstw nie stykający się na co dzień z obywatelem. „Partnerów od okienka” bowiem jest tu tylko około 2 tys. Jeśli jednak personel przedsiębiorstw miejskich rośnie, bo zwiększa się ilość placówek komunalnych, przybywa potrzeb społecznych, to ta druga liczba maleje. W ostatnich 12 latach np. ilość urzędników zmalała prawie o 30 proc., chociaż ilość zadań w urzędach pracujących na styku obywatel — miejska administracja, wzrosła niemal o połowę. Taka jest ocena speceów z Wydziału Prawno-Organizacyjnego Prezydium RN w tym mieście, czyli — w Łodzi.

Wnioskuje oni następująco: zmniejszenie aparatu urzędniczego było możliwe dzięki ulepszeniom metodom działania, sprawniejszej organizacji pracy, podniesieniu się przez ciętego poziomu wykształcenia administracyjnego personelu. A to fakt — nie spotkasz już w Łodzi zbyt wielu urzędników tylko z wykształceniem podstawowym, przeciwnie — coraz więcej z tamtej strony okienka działa ludzi po maturze i po studiach. Ale przecież trzeba wiedzieć i o tym zjawisku: ludzi z podstawowym wykształceniem jest coraz mniej, ci z wyższym jednak zbyt często odpływają.

Co prawda ogólna fluktuacja wśród pracowników administracji miejskiej jest mniejsza niż w innych działach zatrudnienia w mieście (np. w handlu), w każdym razie nawet ten wskaźnik — 20 proc. jest niepokojący, oznacza bowiem, że cała obsada wydziałów, referatów, urzędów itp. miejskich placówek wymienia się co 5 lat. A jeśli się wymienia, to jak może wyglądać sprawa opanowania gąszcza przepisów i zarządzeń, będących u podstaw każdej decyzji podejmowanej przez pracownika z tamtej strony okienka?

Ujawniliśmy także źródła fluktuacji: duży nacisk opinii społecznej na działalność urzędu przy jednoczesnej zbyt małej często możliwości zaspokojenia potrzeb petenta, zbyt mała satysfakcja z pełnionych obowiązków, konflikty między wymaganiami w zakresie ogólnego i fachowego przygotowania urzędnika (na przykład w wydziałach gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, spraw wewnętrznych) a jego indywidualnymi możliwościami wykonywania obowiązków.

Nie zaprzeczamy jednak — zwiększenie zadań miejskiej administracji przy jednoczesnym zmniejszeniu etatów świadczy, że w ciągu wspomnianych 12 lat miasto uczyniło śmiały krok na drodze do lepszego zaspokojenia potrzeb petentów. Pomogło to i w stabilizacji kadr administracyjnych. Zarębowaliśmy więc przy okazji następujące niewatpliwe sukcesy:

Rok 1958 — uproszczono strukturę organizacyjną administracji miejskiej (wyprzedzając zresztą późniejsze zalecenia władz centralnych w tym zakresie), zmniejszając ilość wydziałów o 56 czyli o jedną trzecią, zmniejszyła się droga obiegu akt i liczba tzw. „dorozców spraw” na rzecz wykonawców, decydujących o załatwieniu sprawy. Zwiększył się udział kierowników w decyzjach, skróciła droga od okienka do okienka.

Rok 1959 — na podstawie wszechstronnych badań uproszczono zasady postępowania w wielu sprawach, likwidując zbędne czynności (np. wielokrotna rejestracja, pokwitowania, aprobaty itp.). Tylko to dało uwolnienie ludności od około 1,5 mln zbędnych operacji. Samo rejestrowanie pism na szczeblu Prezydium RN — było tego 900 tys. rocznie — kosztowało 250 tys. zł.

Rok 1960 — ilość dzielnice w mieście zmniejszono z 7 do 5, co spowodowało likwidację jednostek administracyjnych o 26.

Rok 1963 — zakończono likwidację zbędnych kolegiów, komisji, komitetów (przeszło ich działać 38, a wiec około 30 proc), wychodząc ze słusznego założenia, że w wielu sprawach urzędnik powinien czuć się na siłach i sprawę załatwić ostatecznie, i samodzielnie, że wiec kolegiatność jest często jeszcze jedna z form ucieczki przed odpowiedzialnością. W dziedzinie „kolegiatnej” miasto było pierwsze w kraju, o czym mówiono na jednym z plenarnych posiedzeń KC.

W 1963 r. wprowadzono coraz szerzej zasadę kompleksowego załatwiania spraw petenta przez poszczególnych urzędników. Chodzi o to, by jeden urzędnik prowadził sprawę od początku do końca.

Rok 1964 — przeprowadzono badania ruchu interesantów i w rezultacie okienka czynne były w poniedziałki również po południu, skracając czas urzędowania w soboty. Tu jednak zwyciężyły stare nawyki petentów — „jak do urzędu to rano” — i te godziny popołudniowe w agendach nie są do dziś wykorzystane należycie przez interesantów. Mimo, że w Łodzi jest 200 tys. młodzieży, która ma czas tylko po południu, mimo, że w fabrykach kilkadziesiąt tysięcy ludzi pracuje tylko na zmianę ranną — i ta młodzież i ci robotnicy odwiedzają urzędy od świtu.

Tegoż roku, gdy w całej Polsce zakwitło od kolorowych wywieszek „klient ma zawsze rację” i „punkt świadczy usługi dla ludności” — w Łodzi ogłoszono konkurs na hasła określające prawidłowy stosunek urzędnika do interesanta. I teraz te hasła wiszą w urzędach: „szanując interesanta spotkasz się z jego szczeniakiem dla siebie”, „siedząc za biurkiem nie zapomnij, że i ty bywasz interesantem”, „każdy interesant społecznym kontrolerem naszej pracy” (odkąd wiszą te hasła herbata zniknęła z większości biur). Zeby jednak petent nie czuł się wszechwładnie jedno hasło zadedykowane i jemu: „Załatwiając swe sprawy bądź uprzejmy i wymagaj uprzejmości od urzędnika”. Jest komórka w administracji miejskiej, która rejestruje wszystkie przypadki niewłaściwego zachowania się petentów. Odkąd wiszą wspomniane hasła przypadków takich jest 15 proc. mniej.

W roku 1964 również ukazało się w Łodzi, jedne dotychczas w skali kraju, wademecum pracownika kwaterunkowego z tekstami najważniejszych norm prawnych i wskazówek do ich realizacji. Nigdzie w Polsce praca urzędnika kwaterunkowego nie była tak trudna jak tu, więc to wademecum zostało zrodzone z potrzeb. Ale co się z nim stało, dlaczego nie wydano tej pracy pionierskiej na użytek setek tysięcy urzędników rad narodowych w całym kraju? Z prostej przyczyny — pozycja ta nie zainteresowała się dotychczas żadne wy dawnictwo. A szkoda — pracowało nad nią przez rok dwóch specjalistów — radca prawny Prezydium mgr Cierpiński i kierownik nadzoru prawnego Wydziału Spraw Lokalowych, mgr Słatkiewicz — rzecz o objętości 418 stron zasługuje na upowszechnienie, już niezależnie od faktu że ciężar społecznego znaczenia problemu przesuwa się na spółdzielczość mieszkaniową.

Wszystkie te poczynania jednak okazały się dopiero wstępem do generalnej batalii o czas i nerwy petenta. Podjęto ją w roku ubiegłym. Ołóż w Łodzi wolały do okienek 2 mln 200 tys. spraw rocznie, z czego wynika, że każdy statystyczny obywatel trzy razy w ciągu roku staje przed miejskim urzędnikiem. Liczby kryją olbrzymie ilości społecznego czasu, a że papierki są jego największymi złodziejami, postanowiono gruntownie zreformować druki i formu-

larze. Wycofano więc w roku 1966 107 zbędnych druków i wzorów, zrationalizowano (skrótowo, uproszczono), 123 wzory i druki. Od początku ubiegłego roku zrezygnowano z wielu załączników i zaświadczeń, skracając czas załatwienia spraw i przybliżając odpowiednio terminy decyzji urzędu. Najpilniejsze były tu sprawy tzw. masowe. Ustalono, że jest ich aż 88 rodzajów (rocznie 620 tys. spraw indywidualnych) określając dla nich ściśle terminy załatwienia. Największą wśród nich część stanowią (ponad 430 tys. spraw) sprawy do załatwienia w ciągu jednego dnia. Już w dniu zgłoszenia się petenta może on teraz otrzymać różne zaświadczenia, wniosek o przydział dodatkowego węgla, czy reglamentowanych materiałów budowlanych na remont prywatnych budynków mieszkalnych, odbiór akt w urzędach stanu cywilnego, załatwić meldunek, przedłużyć zezwolenie itp. W terminie 3 dni urzędnicy mają obowiązek załatwić aż 76 tys. spraw (gdzie trzeba coś sprawdzić w aktach), w 7 dni — 41 tys. spraw itp.

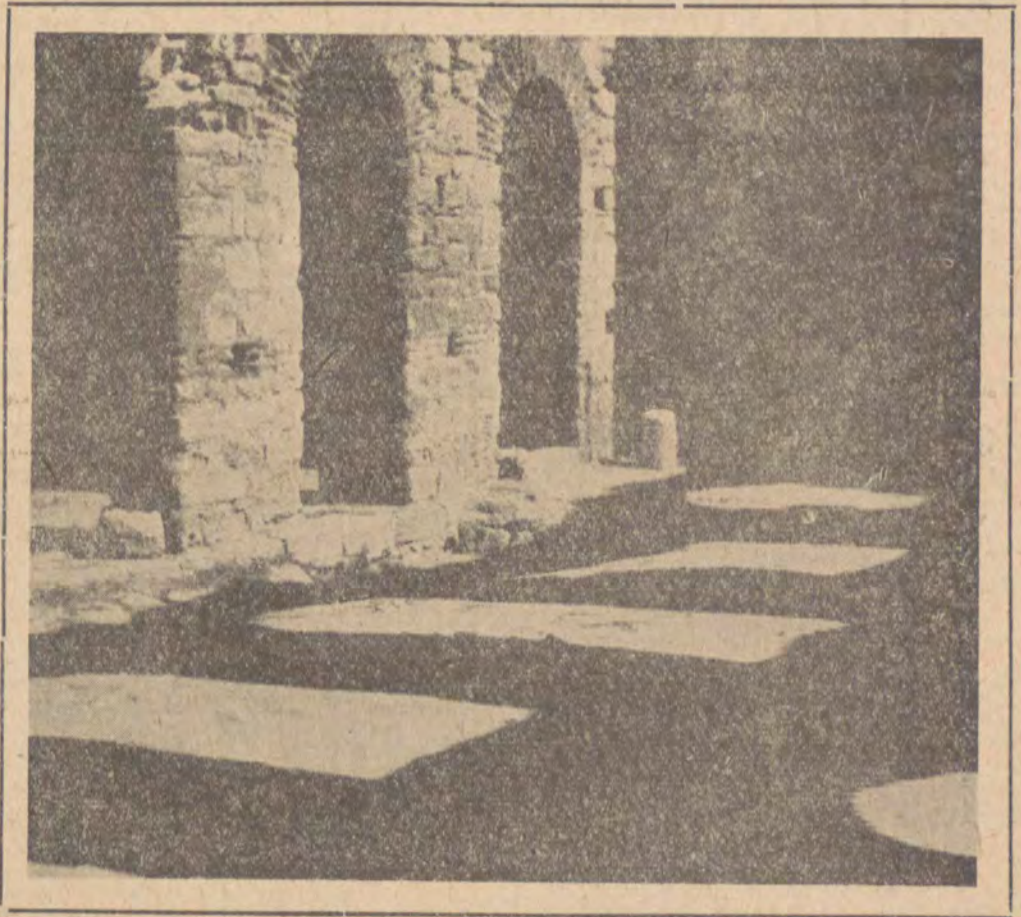
Stwierdzono wtedy jednocześnie, że co piaty obywatel zjawiający się w miejskiej agencji przychodzi właściwie tylko po informację na temat: co, gdzie i kiedy można załatwić. Zdecydowano więc, że petent w swej sprawie powinien przyjść do urzędu raz, najwyżej dwa razy, a po informację — w ogóle nie powinien przychodzić. Spróbowano urzeczywistnić ten idealny punkt widzenia miejskiej władzy. Wydrukowano bezzwrotnie 3 tysiące odezów do obywateli rozwieszając je po zakładach pracy i instytucjach. Poinformowano w nich jakie wydziały co załatwiają i czekano na rezultaty. Po paru miesiącach zbadano ruch interesantów i stwierdzono, że ten ruch wcale się nie zmniejszył. Może dlatego, że wielu potencjalnych interesantów dopiero po przeczytaniu odezwy zdobyło jasność w sprawach, z którymi nosilo się skrycie nie czyniac nic dla ich załatwienia.

Ale nie zapomniano też o sytuacji samych urzędników. Zeby mieli łatwiejsze rozpoznanie w obowiązujących przepisach i zarządzeniach wydano zbiór miejscowych norm

prawnych. Czy dacie wiarę, ile się ich uzbierało? Osiemset... Ale podobno osiemset to jeszcze nie wszystko, że oczekuje się aż władze centralne wydadzą zbiór absolutnie wszystkich przepisów aktualnie obowiązujących w gospodarce miejskiej, praktyka bowiem ujawnia od czasu do czasu istnienie rozporządzeń i norm w mieście zupełnie nieznanymi.

By sprostać nowym zadanom zmniejsza się również ilość pracowników czysto technicznych i kancelaryjnych, zwiększając jednocześnie kadre służące pracy koncepcyjnej, której przybywa wraz z podnoszeniem się poziomu pracy miejskiej administracji. Ale życie jest brutalne — szybciej przyrasta zadań w zakresie myślenia i koncepcji, niż ludzi, którym te zadania można powierzyć. Tym boleśniejszy jest więc pewien odbiór w administracji ludzi z wyższym wykształceniem. A przyczyną tego zjawiska jest i stosunkowo mniejsza w porównaniu z innymi zawodami atrakcyjność pracy urzędniczej z punktu widzenia tzw. kariery życiowej i dosyć niska jeszcze społeczna ocena pracy w administracji („pracuje, pracuje, a wciąż jest źle...”), przeciętne branie na stanowiskach kierowniczych. By nie tworzyć zależności, kierownicy wydziałów i innych jednostek przekraczają ustawowy czas pracy (o 2-3 godziny dziennie), nagminnie zabierają teczkę z materiałami do domu.

Wiele jeśli coraz krótsza już jest droga od podania petenta do decyzji w jego sprawie, jeśli rok za rokiem ubywa załączników i formalności, a czas interesanta jest w coraz większym poszanowaniu — może warto zająć się nieco energiczniej również sytuacją owych 2 tysięcy pracowników miejskiej administracji. A przede wszystkim należałoby podjąć działania na rzecz zwiększania rangi pracownika miejskiego, podniesienia oceny jego funkcji w oczach społeczeństwa. Zresztą i wspomniana wyżej atrakcyjność pracy w administracji z punktu widzenia kariery życiowej — zależy głównie od tego, jak traktujemy obywateli siedzących z drugiej strony okienka.



Fot. E. Kudaj

tymenty. Jeszcze jedno. Zachód był zawsze superegoistyczny. Tej chorobie nie oparli się nawet dumni ze swych wolnościowych tradycji Szwajcarzy. Rząd Szwajcarii był poinformowany o zbrodniach ludobójstwa już w 1942 roku. A jednak we wrześniu tegoż właśnie roku Szwajcaria z hukiem zatrzęsła bramy swego kraju przed uciekinierami z Trzeciej Rzeszy. Wpuszczano jedynie zbiegłych jeńców wojennych oraz ludzi przesiedlanych za przekonania polityczne. Jednocześnie urzędowo wyjaśniono, że osoby, które podjęły ucieczkę ze względów rasowych, dla przykładu Żydzi, nie mogą być traktowane jak uciekinierzy polityczni.

Co z Gersteinem?

Gerstein za pośrednictwem dr Wintera poinformował o mordach w obozach koncentracyjnych arcybiskupa Preysinga z Berlina. Prosił przy tej okazji, by jego sprawozdanie zostało przesłane papieżowi Piusowi XII. Ponoć w tym sprawozdaniu Gerstein określił gdzie jaki obóz się znajduje, jaka jest „wydajność” komór i pieców krematoryjnych. Opisywał również, jak się trupem wyrwa złote zęby i obrączki. Nie ma powodu, by temu nie wierzyć. Gerstein mógł istotnie tak postąpić. Wprawdzie Stolica Apostolska nie potwierdziła odbioru dokumentów, nigdy jednak temu również nie zaprzeczyła. Gerstein czekał podobno na reakcję papieża Daremnie.

Wówczas to, już po wojnie, w celu w której przebywał, napisał mimo wszystko znamienne słowa:

— Jak można było wymagać walki z hitleryzmem ze strony zwykłych obywateli, skoro mnie nie wysłuchał namiestnik Chrystusa na tej ziemi?

Gerstein bez przerwy, już po wojnie, powtarzał, że ma absolutnie czyste ręce.

Czy aby naprawdę?

Gerstein był lekarzem, być może dlatego powierzono mu pełnienie odpowiedzialnych funkcji w Bełżcu, Majdanku, Treblince, przede wszystkim w Oświęcimiu. Nadzorował pracę „Gas-Kommando”. Odbierał „cyklon b”, przywoził do Oświęcimia, sprawdzał też działanie tego gazu już na miejscu, w komorach. Miał zawsze chronometr w dłoni, kiedy spoglądał przez wierzchni rąk widać się, nagie ciała więźniów duszonych w hermetycznie zamkniętych pułapkach ze stali i betonu. Istnieją przecież dokumenty. Na kilkunastu rachunkach wystawionych przez firmę Degesch za dostawę 1.185 kg cyklonu widnieje własnoręczny

podpis Gersteina. Wystarczyło tego dla usmiercenia pół miliona osób.

A jednak Gerstein utrzymywał do końca, że ma czyste ręce. Działal w obozach koncentracyjnych w charakterze „boskiego szpiega” — tak to określił.

Obserwował po to, żeby móc o tym co widział poinformować kościół, a przez kościół cały świat. W marcu 1945 roku Gerstein uciekł z Berlina do żony i dzieci w Tuebingen. Tam oddał się do brońowi w ręce francuskiego komendanta. Francuzi odsyła go do Rottweil, gdzie zajmuje przywoite lokum w hotelu „Mohren”. Musi jednak codziennie meldować się na posterunku francuskiej żandarmerii. Wciąż powtarza, że jest niewinny i że gotów jest złożyć zeznania obciążające prawdziwych zbrodniarzy wojennych. Pisze „Raport Gersteina”, który jest rodzajem curriculum vitae. Władze francuskie uznały jednak w końcu, że sprawa jest mocno pogmatwana i że trzeba Gersteina przewieźć do Paryża. Osadzono go w „Surete” przy ulicy Villejust.

Po dwóch tygodniach Gerstein powiesił się.

Lekarz więzienny stwierdził, że zaszedł samobójstwa. Uplynęło jeszcze 5 lat,

Sprawę Gersteina rozpatruje Trybunał Denazyfikacyjny w Tuebingen. Pod uwagę brane są wszystkie okoliczności, głównie jednak łagodzące. Trybunał orzeka, że Gersteina, choć pełnił ważne funkcje w obozach koncentracyjnych do grupy przestępstw wojennych zaliczyć nie można. Tym niemniej należy go zaseregować do grupy „Belasteten” — obciążonych. Więc nawet przychylny Gersteinowi Trybunał nie mógł się zdobyć na całkowite uwolnienie go od wszelkich zarzutów. W ostatnich jednak kilku latach zarysował się w NRF silny, bardzo dynamiczny ruch na rzecz Gersteina. Był inspirowany przez niektóre czasopisma, głównie „Neue Juedische Zeitung”. Ruch ten zmierzał do całkowitej rehabilitacji Gersteina. Te starania powiodły się. SS-man wyrósł nagle na jednego z bohaterów narodowych NRF, na wzór godny naśladowania.

W pobliżu Hagen w Westfalii stanął olbrzymi kompleks budynków z białej cegły — „Kurt Gerstein Haus” — przeznaczony dla niemieckiej młodzieży protestanckiej.

Kim zatem był Kurt Gerstein? Jeśli był tylko „boskim

szpiegiem” to czemu wykonywał rozkazy przełożonych z bezprzykładnym oddaniem i wzorem posłuszeństwa? Jego pasją w wykonywaniu obowiązków służbowych i wielka dyscyplina znalazły pełne uznanie w oczach zwierzchników. W kwietniu 1943 roku Kurt Gerstein awansował na Obersturmfuehrera SS. Dalej świadkowie na procesie denazyfikacyjnym w Tuebingen Muench, Rose i Reichmuth zeznali, że Gerstein zachowywał się w obozach arogancko, brutalnie i według nich był typowym przedstawicielem SS. Jest wszakże możliwe, że widok przedśmiertnych konwulsji usmierczonych w komorach gazowych kobiet i dzieci nie dawał Gersteinowi spokoju. Jest możliwe, że niepełnie nadawał się do roboty, którą mu powierzono. Był może zrywał się w nocy z łóżka i szarpał nim wyrzuty sumienia.

Jest również możliwe, że ten Gerstein był cwany kalkulatorem, który wcześniej niż inni przeczuł nieuchronny krach tysiącletniej Rzeszy i począł gorączkowo szukać wyjścia z pułapki, w którą się był wplątał.

Istnieje i ta możliwość że Gerstein polował za wiarygodnym alibi, sztykował tytuły na które w odpowiednim

momencie mógłby się wycofać.

W NRF Gersteina zrehabilitowano. Można i tak. Pozytywni bohaterzy są przecież nad Renem pilnie poszukiwani. Tyłko, że ta sprawa pachnie niebezpiecznym precedensem. Bo iluż innych młodych i fanatycznych ostrog SS-manów może teraz wstąpić w ślady Gersteina i głośno bić się w pierś zaklinając, że owszem, wstąpił do SS, ale tylko po to, żeby tę organizację rozsadzić od wewnątrz. Precedens stworzono. Odgórnie.

Sąd krajowy we Flensburgu uniewinnił SS-mana Heinza Rheinefartha od winy i kary. Rheinefarth nie był katem Warszawy, nie on jest odpowiedzialny za likwidację łódzkiego getta i spalenie więźniów w Radogoszczu. Rheinefarth jest niewinny. W tym samym czasie inny SS-man Kurt Gerstein pasowany na czystego jako iza rycerza i wcielonego wstąpił w szeregi chrześcijaństwa. Maluczko, a Gersteina ogłosił się męczennikiem, a po iluś tam latach stanie się on przedmiotem kultu. Już nim jest.

W tym szaleństwie metoda jest na pewno. Jest też konsekwencja.

Rozmowa z pisarzem

ODGŁOSY: Drukowany na tej kolumnie fragment pochodzi z Pańskiej nowej powieści, prawda?

W. JAZDZYNSKI: Tak. Właśnie ukończyłem ją. Tytuł: „Sprawa”.

ODGŁOSY: Czy mógłby Pan powiedzieć naszym czytelnikom coś bliższego o tej książce?

W. JAZDZYNSKI: Jest to powieść o tematyce współczesnej. Jej bohater to człowiek samotny w średnim wieku bardzo dla kraju zasłużony, który popadł bezwiednie w tarapaty życiowe. Potrzebuje więc zwykłej ludzkiej pomocy. Bohatera interesuje wyłącznie stosunek kolegów z dawnego plutonu do jego kłopotów. Pragnie on znaleźć odpowiedź na pytanie, czy lata wspólnej walki i wspólnych niebezpieczeństw zdolne są przetrwać się w trwałą przyjaźń.

ODGŁOSY: Sądząc z fragmentu, który publikujemy, powieść zawiera wiele partii retrospektywnych?

W. JAZDZYNSKI: Jak najbardziej.

ODGŁOSY: A jakie będą dalsze losy rękopisu Pańskiego utworu?

W. JAZDZYNSKI: Nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. Maszynopis złożyłem w „Czytelniku”. Poczekajmy, co z tego wyniknie.

Rozmawiał J.K.

**WIESŁAW
JAZDZYNSKI**

Tamte lata

— Okręt z frajerami utonął, nie idą dalej. Sześć wali się jak kłoda w poprzek rowu przydrożnego. Słońce idzie szybko w górę, upał rośnie, a na niebie ani jednej chmurki, tylko powietrze jakby coraz mniej, zupełnie nie ma czym oddychać.

— Ciekawe co z siebie był za partyzant! I cóż ty mógłś takiego zwojować, jeżeli wysiadasz po głupich dziesięciu kilometrach. — Pracowałem w sztabie zgrupowania, tam się mało chodziło, a dużo myślało, jestem urodzonym mózgowcem. Ty, zdaje się, służyłeś wyłącznie w piechocie?

— Zgadłeś, innego wojska akurat nie mieliśmy pod ręką tylko samą, szarą piechotę.

Szef wygląda żałośnie. Jest skończony. Rozumiem, mało chodzi w ostatnich latach, więcej za to myśli. Jego czas jest już tak cenny, że wyklucza chodzenie, musi jeździć samochodem dla dobra naszej placówki wydawniczej. Szef z samochodu jest, oczywiście, wyżej ceniony od szefa bez samochodu a i samochód nierówny samochodowi. Chociaż w tym przypadku chodzi głównie o czas, bezcenny czas mego szefa. Szef musi wszędzie zdążyć, żeby oświadczyć to co trzeba i dlatego jeździ. Tylko maszerować jak zwykły turysta już nie umie.

— Widzisz ten zagajnik na horyzoncie? — Strzelec nie widzi, panie generale! — A to szkoda, tam płynie strumyk, w którym można się wykąpać.

— Nie ide. — Szef buntuje się początkowo przeciwko przyrodzie, klnie na lato i słońce, wyraża zdecydowane niezadowolenie z powodu geograficznego położenia Polski, coż to za straszny kraj w zimie zimno, w lecie gorąco nie do wytrzymania. W końcu jednak podnosi się.

— Może byś poszedł do wsi i sprowadził podwodę? Służyłeś w piechocie, pewnie byś sobie z przyjemnością polatał co?

— Mogę, dlaczego nie, ale droga do wsi prowadzi przez ten zagajnik obok strumyka. Posiedzę sobie trochę między krzaczkami, samemu lepiej się odpoczywa można sobie pomyśleć o tym i owym, niekoniecznie o tobie.

— Nie ide. — Znowu wali się do rowu. Mija nas w tym momencie samochód. Szef podrywa się, ale jest już za późno.

— Czemu go nie zatrzymałeś? Nie widziałeś wozu? — Widziałem, ale nie jestem uroczym kociakiem, ty to co innego, każdy przyświeca jak cie zobaczy od przodu.

— Czekaj draniu, już ja ci pokażę, jak wrócimy do normalnych stosunków służbowych.

W końcu jednak decyduje się na zagajnik. Wypit już cały zapas wody, a ja nie. Doświadczony piechur wie, że pragnienie rodzi pragnienie, jeżeli niebź umiaru. Trzeba mieć silną wolę, dzielić ilość wody przez kilometr. Ale szef nie zna już takiej matematyki. Je i pije bez umiaru, powiada, że stać go na to. Flaczki na pierwsze danie szaszłyk na drugie, melba jeszcze do tego czarna kawa i szklanecka kolanu z lodowatą wodą mineralną. Jak cie widza przy stole tak cie w sprawozdaniach opisują.

Wlecmy się w stronę zagajnika. W mojej manierce bulgocze woda, ale szef udaje, że nie słyszy tej wdziecznej muzyki.

— Strumyka pewnie nie ma, co?

— Nie ma.

— A ta wieś?

— Jest, jakieś, bo ja wiem, siedem osiem kilometrów. Mało pamiętam, dawno tedy nie szedłem.

Zagajnik wcale nie leży tak blisko. Kiedy staliśmy na szosie — tylko ręka sięgnąć, najwyżej kilometr, ale teraz kiedy brniemy po kucstach w piachu oddala się.

— Prymityw, a nie weekend z drugiej połowy dwudziestego wieku — sapie szef — po to, żeśmy się tyle narażali, natyrali, naczędziali nakombinowali, żeby się w piachu ufajdać?

— Żeby czasem zatęsknić za naturą i zdrowym zmęczeniem, szefie!

— A idź ty do cholery! Męcz się zdrowo sam!

Tedy szliśmy na pomoc walczącej Warszawie. Chowański w przodzie oddział przedni straż przedniej, czy coś takiego. Dowódca maszerował na czele zielonego sznurka ludzi, ja koło Kowala, który kłął na czym świat stoi, bo mu odebrano etat kucharza i musiał być zwykłym żołnierzem. Maria na wozie, w samym końcu sznurka, pilnowała naszych chudych zapasów żywności i amunicji.

Docieramy wreszcie do zagajnika. Wtedy także mieliśmy tu postój. Kowal przestał być na moment żołnierzem, rozdawał jakieś puszki chyba niemiecką wotowinę, ale o prawdziwym kucharzeniu z mocnymi przyprawami nie mogło być mowy. Okolicę patrolowały hitlerowskie samoloty, wiele grup maszerowało na północ ku płonącej stolicy, podobno nawet całe dywizje Armii Krajowej. Taka na przykład dywizja mogła pozwolić sobie na gotowanie. Chodziło głównie o dym, który łatwo zauważyć z samolotu. My mieliśmy dużo zapasów, ale bardzo mało amunicji, więc musieliśmy zjadać mięso z puszek na zimno a taka dywizja ciągnęła pewnie ze sobą pepance, cekaemy, moździerze i miotacze płomieni, cuda stworzyłiśmy o takich dywizjach mogły, jasne, że mogły urządzać prawdziwe biwaki i dymić na cały powiat. W nas cudów nie było kilka automatów, trzy elkaemy, jeden ciężki, a reszta same kabki niektóre rozkalibrowane.

Szef rzuca się na trawę. Podaje mu manierkę. Bierze niby niechętnie walczy ze sobą, ze straszliwym pragnieniem, na zewnątrz poci się jest cały mokry ale w środku wysuszony jak wiorek. Pomagam mu w podjęciu decyzji starannie wyreżerowanym uśmiechem podwładnego, który dba o swojego przełożonego. Szef nie może się oprzeć mojej trosce pilnie jednak ostrożnie. Nad naszymi głowami pływają gałazki brzoź. Tych brzoź nie było wtedy, na pewno nie było, tylko same świerki. I nagle wszystko mi się przypomina.

— Za tym laskiem stały bunkry.

— No to co, że stały?

Szef grzebie w plecaku.

— Pójdę zobaczyć, czy jeszcze stoja.

— Polataj, polataj, to ci dobrze zrobi, rozgrzejesz się trochę.

Tamtego sierpnia upał wcale nie był mniejszy. Chowański wystawił ubezpieczenie od strony szosy, bunkry stały za lasem i początkowo nikt nie zwracał na nie uwagi. Zjedliśmy wotowinę na zimno, tak to musiało być jednak wotowina. Dowódca spieszył się chciał koniecznie pomóc walczącej Warszawie. Rozpoznanie pierwszej części przygotowywał Bławatek. O bunkrach nawet nie wspominał. Zobaczyliśmy je dopiero po wyjściu z lasu.

Wychodzę na brzeg lasu widzę rozległe kartoflisko, bunkrów ani śladu. Szef krzyczy za mną:

— Są te bunkry?

— Nie ma.

— Masz z tego powodu zmartwienie co?

Ale wtedy one stały jeden za drugim, wzdłuż drogi, przypominam sobie teraz wszystko, do najdrobniejszych szczegółów. Pierwszy wyszedł z zagajnika Chowański, za nim dwaj zwiadowcy. Szli drogą wzdłuż bunkrów. Nie ma już tej drogi. Chowański to stary lis, nigdy nie dowieział wywiadowi, wołał sprawdzić. Sam zszedł do pierwszego bunkra.

— Nie widziałeś gdzie klucza do sardynek?

— Zaraz ci dam.

Od czasów wojny noszę zawsze w kieszeni skomplikowany scyzoryk który ma dwa ostrza, ale i korkociąg, klucz do otwiera nia puszek, butelek i pilnik. No, więc Chowański wyszedł z bunkra i podniósł rękę do góry na znak że wszystko w porządku. Dowódca zaczął nas wyprowadzać z zagajnika. Szedł na czele, ja zaraz za nim obok Kowal, sierżant marudził przy wozie. Znaliliśmy jeszcze dość dobrze ten teren, nie uszliśmy daleko od bazy trzydziści, może czterdziści kilometrów maszerowaliśmy wciąż jeszcze na pewniaka.

Szef denuruje się.

— Hej, partyzancie! Najpierw coś zjemy, a potem możesz się trochę poczęgać. Wyszadź sobie co po drodze masz pewnie ochotę, co?

— Wracam do szefa, rzuca mi scyzoryk na trawę.

— Najpierw po jabłuszku — mówi szef. Otwiera puszkę z portugalskimi sardynkami, wygarnia zawartość na potężną kromkę chleba i zajada z apetytem, a mnie podaje jabłko.

— Nie trzeba się przeżerać, masz tu jabłuszko wojska.

Biorę jabłuszko, ale nie chce mi się jeść. Wspominam, nie mogę uciec od tamtych lat. Jeden z wywiadowców padł od razu, mieli go jak na patelni. Chowański i ten drugi przysnęli w żyto, bo wtedy rosło tam żyto. Szef trzyma w ręku niezły kawał suchej kiełbasy je wolniej, jest już prawie syty i zaraz będzie pewnie filozofował. Reszta też dała nura w żyto, część została w zagajniku. Tylko nasz dowódca nie zdążył. Szef sięga po butelkę koniaku.

— Czuję, że rygniemy po jednym na wzmocnienie. Dlaczego jesteś taki zamyślony. Nie martw się nie, stary, zalecamy jakos do schroniska.

Dowódca żył do wieczora, Maria robiła co mogła, ale cóż może zwykła sanitariuszka?

Mogli naszego dowódcę opiekują się teraz barceze. Wywiadowcy nie mogliśmy odzyskać, bo go rozszarpały nasze granaty. Hitlerowcy nie rzucali granatów, ale myśmy musieli. Dowództwo przejął sierżant i wróciliśmy do bazy z tej wyprawy na Warszawę. Dowódcę przywieźliśmy szczęśliwie matce.

— A kiedyś miałem u siebie bardzo zabawnego buchaltera. Należał on jeszcze po stakaniku, to ci opowiem, nie ma jak dobra anegdota w czasie marszu.

Napelniam plastikowe szklanecki, a szef opowiada. Buchalter był zadowolony z żony, ale w taki jakiś specjalny sposób. Wiedział, że go nie zdradza, lecz bołał nad tym, że nie zwracała na niego uwagi. Traktowała go jak dobrane znajomego, starego nudziarza, czy coś w tym rodzaju. Buchalterzy nie zawsze bywały atrakcyjne choć należały do najważniejszych w naszym kraju. Nieszczęśliwie postanowił wrócić do siebie w gę swojej żony. Zaczął pilnie trenować pozorne samobójstwo. Skonstruował sobie specjalne urządzenie, które zapobiegało po wieszaniu, zakładał sobie pod pachy ja-

rowy? Jeżeli tego nie zdołał, a o bunkrach wiedział, czemu nie wytyczył innej trasy naszego marszu?

— Dlaczego opowiadasz mi te dyrdymale?

— Odmiadam się zmieniać konwencję życia służbowego na rzecz prawdziwego zadziwiającego życia. Zastanawiałeś się kiedy jak my naprawdę żyjemy?

— Nie zastanawiałem się. Wystarczy już tego koniaku, szefie, wejdzie ci w nogi i nie ruszymy z miejsca.

Minęło już południe. Ponieważ ziemia kręci się wokół słońca, cienie drzew wędrują więc o jakiś czas — wskutek tego obrotu — musimy zmieniać pozycję, inaczej przybliżyłbyśmy się w słońcu póki nie ogarnąłby nas cień innego drzewa. W milczeniu pilnujemy cieni do których przyngleżemy.

— Dlaczego my tak żyjemy? — pyta szef. Wtedy nie myśleliśmy o Bławatku, i mieliśmy kiedyś. Ciągnęło się za nami pasmo niepewności. W tragicznej zasadzce straciłmy Żegotę, znaczący na to wyglądało, w drodze do stolicy padł dowódca i zwiadowca za jakiś czas Kowalowi rozszarpało kłosa, ledwie uszedł z życiem. Do dziś nie wiem co się stało. Czy mu kto granat wsunął do paleniska, czy odrobinę środków wybuchowych?

— Dlaczego mówisz, że żyjemy dziwnie?

Szef wyjaśnia mi łagodnie co ma na myśli. Jak byliśmy młodzi bawiliśmy się w zdobywanie pozycji nieprzyjaciela, jak to na wojnie. Jeden zdobywał, drugi ginął, krzyżyk na drogę w nieznaną, następny pod muszkę. Szef wygrał wojnę razem z mną i innymi. Z tymi innymi budował coś zupełnie nowego, bronął zdobytych pozycji, bronął, ponieważ walczył z bandami. A teraz też bronę, tyle tylko, że swojej pozycji.

— Tak to jest, Wojtusiu. Bronimy swoich własnych pozycji. Co ci się śni?

— Czasem mi się coś śni, ale nigdy nie pamiętam co.

— A ja pamiętam tylko jeden gatunek snów. Stale mnie coś zasypuje. Jak jestem akurat w wozie to on tylko na początku snu jest szeroki, wiesz? Szeroki po to tylko, żebyśmy poszedł dalej, a jak pójdzie dalej to mnie zasypują kamienie. Pamięć nie boję się snów o kopalniach. Jak tylko zjadę wina na dół bo to się zawsze ładnie zaczyna, wysoka technika wina szerokie chodniki aparaty tlenowe, a buduję się już uduszony węglowym pyłem. To ma swoją wymowę, dopełnia realne życie. Ty tego nie rozumiesz, bo cie tylko raz próbował zasypać i nie naprawdę. Ja mam sny szefa tysiące szefów ma takie sny, lęk przed zasypaniem.

Słońce czerwienieje z wolna, nie ma już sensu pilnować cieni. Ptaki śpiewają coraz głośnie, odzyskują formę. Nowy dowódca nie był zły, ale obcy, już nie z kręgu miasteczka. O ludzi dbaj nigdy nie ryzykował ale na krótko przed wyzwoleniem pojechał gdzieś, podobno do komendy głównej i nie zdążył wrócić na czas. Jakiś czas dowodził nami Chowański pa spółkę z sier-



kieś takie cieniutkie linki, nie było ich widać, wkładał głowę w podł, wywalał je z nas, wierzach, przewracał oczyma i umierał na niby przez chyba tydzień. Pewnego razu a było to podczas treningu, weszła do pokoju sąsiadka. Krzyknęła w pierwszej chwili, ale później zaczęła grzebać w szafie, gdzie buchalterowa trzymała kasę i kosztowności. Buchalter nie mógł jej tego darować więc ją kopnął w pośladek, sąsiadka parobila krzyku i umarła na serce.

— Dobre, co?

— Niezle i co się stało z buchalterem?

— Nic, przecież nie zamordował sąsiadki, gdyby nie należał do partii mógłby na wet pozostać na swoim stanowisku, ale u nas, wiesz jak jest wymagają się wysokiej postawy moralno-politycznej, a nie wesołych kawałów. Poszedł na gorsze stanowisko.

Rozpoznanie prowadził Bławatek. Na pewno on. Nie odeszliśmy daleko od bazy, więc on musiał wiedzieć o bunkrach. Każdy wiedział, że Niemcy budują bunkry, albo rowy przeciwczołgowe kopali, nagle dziła Armia Czerwona. Czy Bławatek nie zdołał ustalić, że w bunkrach siedzą hitler-

żantem. A mój obecny szef zasnął i chrapie aż miło. Nie chcę go budzić, ale muszę, jeżeli nie ruszymy zaraz, nie zajdziemy przed nocą do schroniska. Szefa nie łatwo obudzić. Potrząsam nim dobrą minutę, wreszcie otwiera oczy.

— Dziękuję ci Wojtek, znowu mnie zasypywało. Byłem cholera w Wieliczce i trafikiem na katastrofę. Idziemy, ja, pierwszy sekretarz, ktoś ważny z resortu inżynierowie, technicy, przedstawiciel klasy robotniczej a tu — kurna olek, wyobraź sobie — katastrofa. Zawalił się chodnik. Już byłem do połowy zasypany, jakżeś mnie obudził.

Podrywa się energicznie świeży i wypoczęty. Znam sny szefa nie od dziś to należą do moich obowiązków, nocami obcuje z ludźmi, którzy coś znaczą, z kim on już nie gadał we śnie, ja już nie mówię o premierze gości zagranicznych bardzo lubi aktorów, sławne ma się rozumieć i ładne, gadał ze wszystkimi sekretarzami i przewodniczącymi zwykli ludzie i mało znani trafiają się szefowi rzadko. Szkoda, że go stale coś zasypuje.

— Zapieprzamy ku szczytom, co?

— Kompania naprzód marsz!

Lament strapionego egzaminatora

Rezultaty tegorocznych egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie wywołały znaczne poruszenie zwłaszcza w kręgach osób zainteresowanych. Często młodzieży objawiała katastrofalne wprost nieprzygotowanie. Świadczy o tym chociażby fakt, że w maturze naturalnej stało się fikcją, skoro uzyskanie go nie jest wcale równoznaczne z posiadaniem minimum wiadomości i zdolności samodzielnego myślenia wymaganego od tzw. dojrzałego człowieka. Jako główne przyczyny ulażkowo się wymieniają utrudnione egzaminy maturalne oraz system forsowania uczniów z klasy do klasy, ponieważ nadmierna ilość dwójek świadczy o niekorzystnym nauczyciela, a nie ucznia. Jak nie trudno odgadnąć, w obu przypadkach chodzi o dobro naszej kochanej dziatwy. Jeszcze niedawno prasa donosiła ze zgrozą jak to okropnie młodzież denerwuje się w trakcie egzaminów i jak straszne perturbacje zagrażają jej wrażliwej duszy (znaczy młodzieży a nie prasy). Można oczywiście powiedzieć, że zaostrenie kryteriów egzaminacyjnych stanowi czyściu formale rozwiązanie problemu podwyższenia poziomu intelektualnego uczniów. Ale czy szkoła próbuje innych środków? Np. pobudzania i rozwijania zainteresowań swoich pupilów, co w rezultacie skłoniłoby ich do samodzielnego pracy niezależnie od wiążącej nad nimi zmory dwójek. Obawiam się, że poza nielicznymi wyjątkami i eksperymentami szkoła takich prób nie podjęła.

Już w tej chwili możemy skonstatować, że jak tak dalej pójdzie, to za 15-20 lat tradycje i dorobek kultury polskiej staną się mglistą legendą, starą baśnią, znaną specjalistom oraz zdziwczalym starszkom. Wielu przedstawicieli wyższych uczelni narzekają na bardzo niski stopień przygotowania zdających z przedmiotów ścisłych. Bramą udział w egzaminach wstępnych do Wyższej Szkoły Filmowej - nie muszą chyba wspominać o specyfice uczelni tego rodzaju. Pozwól sobie ponarzekać na niedopuszczalne, moim zdaniem, niedostatki wiedzy z zakresu humanistyki, a ściślej mówiąc dziejów literatury ojczyźnej. Ewa Siemińska przytaczała już na łamach „Odgłosów” kwiatki z egzaminacyjnej łączki. Tych kwiatków było, niestety, zbyt dużo. Młody człowiek zapytany o wybitnych pisarzy międzywojennego dwudziestolecia - myśli długo, aż wreszcie triumfalnie obwieszcza - Putrament. Inny, świeżo upieczony maturalista, mimo intensywnej koncentracji duchowej, nie potrafił sobie żadną miarą przypomnieć nie na temat Młodej Polski, co to było, kiedy to było, jakie nazwiska się z tym wiążą. Na wszelki wypadek dodaje jednak, iż chodziło o walkę społeczną i narodową - tylko nie bardzo wie z kim ta walka miała być toczona. Znałazł się nawet jeden, nie umiejący wymienić utworów Adama Mickiewicza.

Ale to jeszcze nie wszystko. Maturzystów nie naucono myśleć ani kojarzyć, nie naucono rozumieć tego co czytają, wpajając im w za mian kilka stereotypowych frazesów. Przykłady są aż za dużo, by je w swojej prostocie i nęskocie zapytanych nie potrafił wyjaśnić znaczenia tytuł powieści „Popiół i diament” oraz „Komu bije dzwony” - choć książki te czytałyśmy i mieliśmy zawsze cudowne, genialne. Tylko nieliczni dają sobie radę z kojarzeniem wiadomości z różnych dziedzin, jak?

JAN KOPROWSKI

Od entuzjazmu do nienawiści

„Zwycięski Ibsen”, „Ibsen bez trzyluz”, „Sztuka Ibsena stawia ponad wszystko inne i wyśfiorował go na niebotyczne wyżyny. Oczywiście dzisiaj nie podzielimy tego entuzjazmu Shawa a przynajmniej nie podzielimy go w tym stopniu i takim nasileniu, Ibsen, który stworzył epokę w teatrze i odegrał swoimi dramatami wielką rolę społeczną, zestarzał się i de- czas odarł go z wielu walorów. Nie możemy również podzielić pewnej niechęci Shawa do Szekspira, Shaw był pomniejszycielem pisarstwa autora „Hamleta”, do czego przyczyniło się zapewne i to, że na schyłku ubiegłego stulecia dzieło Szekspira nie miało szczęścia do wybitnych i ośmiuwających re- alicacji scenicznych w Anglii. Wiemy że również Lew Tolstoj odnosił się do twórczości Szekspira niechętnie, co mistrzowi ze Stratfordu bynajmniej nie zaszkodziło.

Dokonujemy dziś korekty osądów Shawa i odnosimy się do nich z uwzględnieniem współczesnika epoki, ale czy podejrzamy do zbioru jego krytyk tak czy inaczej, jedynie nie ulega wątpliwości: znał komita sztukę pisarską, pa- rzezy propagował, inne zwał, czal, do jednych odnosił się z miłością, do innych - z nienawiścią. Wielką miłością Shawa była dramaturgia Ibsena. Można powiedzieć, bez obawy popadnięcia w przesadę, że okres jego teatralnego recenzentwa stał pod znakiem walki o wprowadzenie Ibsena na sceny angielskie. Już same tytuły pomieszczonych krytyk mówią o tym wyraźnie: „Nowa sztuka Ibsena”, „Ibsen górą”,

rozrywką”: „Kto przez blisko trzy lata znosił cierpliwie ukłucia aktorów, temu ukłucie igły chirurga wydaje się zbawiającą ulgą.”

Skoro potrącić o rzeczy w polskim wydaniu pominie- te, kilka słów na ten temat. Jasne jest, że do każdego wyboru, prezentującego fragment czyjegoś dorobku, moż- na się przycepić. Nie mogą jednak oprzeć się wrażliwi, że można było zredukować w wyborze kilku recenzji na rzecz esejów bądź o wybit- nych dramaturgach, bądź o aktorach, bądź wreszcie o sztuce teatralnej w ogóle. Na przykład: szkoda znakomite- go szkicu o Oskarze Wilde, w którym Shaw z właści- wym mu sarkazmem dowo- dzi, że „Anglicy uważają au- dę za główną cechę ludzi wybitnych.” Szkoda również, że pominięto dwa znakomite portrety aktorów angielskich: Henry Irvinga i Ellen Ter- ry. Są to po prostu wzorce, jak pisać krótkie a przecież wyczerpujące studia o osią- gnięciach wybitnych aktorów. W związku z tym nie mogę odmówić sobie przyjemności zacytowania następującego pa- susu ze szkicu o Ellen Ter- ry: „W przeciwieństwie do Irvinga dla którego sztuka była wszystkim a życie ni- czym, znajdowała ona, że ży- cie jest o wiele bardziej in- teresujące, niż sztuka.” A już jedno na pewno nie nale- ży darować autorowi polskie- go wyboru. Skoro cały tom stoi pod znakiem Ibsena, nie powinno być zabraknąć w nim podstawowego szkicu Shawa pt. „Ibsen w Anglii”, w którym autor rozprawia się w sposób generalny i za- sadniczy z realizacjami Ibsen- owskimi na scenach angiel- szych. Pomijam już fakt, że szkic ten napisany został wy- jątkowo świetnie, z dużą przymieszką satyrycznej zja- dliwości.

Cóż nam pozostaje? Cieszyć się tym co już jest i oczekiw- kować pełnego wydania re- cenzji i krytyk teatralnych Shawa. Może się doczekamy.



DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cie o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz markiem plus (+) działy które Cie interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (-) zaznacz te działy które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cie również o in- ne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcz- nym losowaniu cennych na- gród książkowych a redakcja pomoże w lepszem zrozumie- niu potrzeb czytelników Ło- dzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgło- sów” na adres: Łódź ulica Piotrkowska 96

rozmowy	
wywiady	
sprawy międzynarodowe	
zagadnienia ekonomiczne	
problemy obywateli	
raportaż	
powieści opowiadania fragmenty	
noty	
recenzje książkowe i teatralne	
film i TV	
felietony	

O czym jeszcze chciałbyś czy- tać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię

.....

wiek

zawód

adres

Łowy na mity

Ta książka zawiera dwa utwory — utwór Jürgena Bartscha oraz utwór Stefana Lichańskiego. Jeden i drugi jest równie interesujący, co, przynajmniej, nieco mnie zaniepokoiło, ponieważ chyba antypowieść Bartscha straciłaby zbyt wiele, gdyby pozostawiono ją „oprawy” Lichańskiego. Czyżby jej samodzielna egzystencja była zagrożona? Sprawa jest tym poważniejsza, że Bartsch to pisarz utalentowany. Sens „Łowów na wrony”, sens pełny (jeśli uwzględnimy się chce przy jego ustalaniu całość książki) jest do odczytania poprzez sporządzenie jej dokładnego planu i ułożenie według niego rozrzuconych przez autora klocków tak, aby do siebie pasowały. Takie ustawienie klocków wziętą na siebie Lichański w swoim wstępnym eseju. A więc na czym polega ta cała zabawa? Autor rozrzuca, żeby krytyk składał? A może autor nie powinien rozrzucać? A może krytyk nie powinien składać, a raczej przyjmować utwór w takiej postaci w jakiej mu on został zaprezentowany i ukazywać tylko technice rozrzucańca oraz cel, któremu gra ta służy? Zarzut można by postawić zarówno autorowi, jak i krytykowi. Ciekawszymi są jednak przyczyny obydwu zjawisk. Otóż rzecz chyba w tym, że i autor i komentator piją z tego samego źródła i każdy z nich tworzy, w innym oczywiście stylu, podobną legendę. Piją mi nowelnie ze źródła mity.

„Łowy na wrony” to według Stefana Lichańskiego powieść oparta o mit. Krytyk wyjaśnia pochodzenie i sens tego mity, posługując się zasadami interpretacyjnymi Dantego. Wyróżnia więc sens literarny, alegoryczny, moralny i mistyczny. Pórszyło mi nie tyle użycie tych kryteriów przez Lichańskiego, ile uświadomienie sobie, że są one coraz szerzej stosowane przez krytyków. Chwała Dantemu. Ale należałoby chyba powoływać się na niego częściej, jak to uczciwie robi autor wstępu do książki Bartscha. Lichański tworzy obraz „Łowów na wrony” tak interesujący i wyczerpujący, że wrazenie, jakie robi antypowieść Bartscha, jest przez to dużo słabsze. Bardziej leniwy lub średnio wnikliwy czytelnik może z powodzeniem potraktować fragmenty książki już tylko jako ilustrację sugestywnych wywodów autora wstępu.

Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem fascynacji mitem, występującym zarówno u pisarza, jak i krytyka. Ta fascynacja ma głębokie uzasadnienie (nie wspominam tu o tradycjach literackich i antropologii, bo są to rzeczy powszechnie znane). Uznanie

istnienia mitów łagodzi uczucie przemijania, stępia pazury czasu. W micie, który się tylko przy użyciu różnych technik powieła, jest coś z absolutu. Dlatego wiara w mity ma coś wspólnego z wierzeniami religijnymi, z uczuciem nadziei, które one gają, a jednocześnie z właściwym im fatalizmem. Ponieważ ilość mitów jest ograniczona, obracamy się ciągle w tym samym kręgu i wzorce te określają nasze losy. Nie ma więc ucieczki przed mitem. Niewątpliwie odkrycie podobnych wzorców w różnym czasie ma walory estetyczne.

W powieści Bartscha mit odsłania się powoli i z trudem. Jest zaplątany w potok słów strumienia świadomości, w mistrzowsko „zrobione” przejścia od mowy zależnej do niezależnej, od monologu wewnętrznego do narracji, od narracji do dialogu. Tylko, że nie wszystkie celegi są potrzebne do budowania wieży mity. Niektóre nie pasują — jak np. przysłowia z kobietą w lesie czy niektóre dialogi Jensa z Alfredem. Autor jest daleko mniej konsekwentny niż krytyk, który wyraźnie nie chce zmarnować żadnego klocka. Autor jest chyba bardziej debiutantem, niż sędzi Lichański. Idzie za mitem, ale w drugą stronę unosi go strumień mowy — zupełnie odmiennie w swoich różnych formach. Fascynują go możliwości zestawienia rozmaitych jej odmian — od zbrutalizowanego dialogu dwóch więźniów, którzy rozmawiają o kobiecie, aż do metaforycznego strumienia słów wędrowca, który idzie szosą, a szosa ta jest „wymyta przez czas, złośliwa i bezlitosna”. To zestawienie to użycie różnych form, to jakby szereg propozycji i głęboko w tym wszystkim ukryte pytanie — jak właściwie można dzisiaj pisać? Bartsch wydaje się chwilami medium, przez które mowi współczesna proza awangardowa, nekana aż do granic objętości strumieniem świadomości, próbująca się z niego w różny sposób wywilić, narkotyzująca się mitem. Można poprzez ten utwór dostrzec także konsekwencje używania takiego narkotyku. Widzę już taką chwilę, kiedy żaden szanujący się pisarz nie zaczyna powieści, nie sięgnawszy przedtem po Biblię lub Koran, a krytyk także bez użycia dzieł tych nie będzie śmiało interpretował utworu.

Jens wyrusza w drogę — drogę, która chwilami przypomina drogę z „La Strady”. A na końcu powieści Jens, który już zginął, znowu wychodzi z więzienia i wyrusza w drogę. Bartsch chciał przede wszystkim zawrzeć w swojej książce to dramatyczne pytanie, które wyraża motto pochodzące z wiersza Johanna Bobrowskiego „Po co tutaj przyszliśmy i dokąd idziemy?”. Nie jest to pytanie nie mity, ale naszego czasu. I jest to pytanie z gatunku takich, które stawia tylko wielka literatura.

J. Bratsch, „Łowy na wrony”. Warszawa, PIW 1967.

Kabaret literacki — a niechby i nie do końca literacki — w Łodzi... Czy ma szanse powstać, a przede wszystkim czy ma szanse utrzymać się na dłużej, czy znajdzie miejsce pod dachem, autorów, wykonawców oraz — ostatnie, acz nie najmniej ważne — publiczność. Dodajmy: publiczność, która przyniesie pieniądze, miast z rozdrażnieniem dzwonić w sprawie zaproszeń.

Piękny temat, wdzięczny temat, co jakiś czas porusza go ktoś na łamach prasy, popłodził, pokwaka i zrezygnowany machnie ręką. Próbuje również i twórcy — patrzeć w przeszłość naliczyli bym kilka, a może nawet kilkanaście inicjatyw, które niezależnie od rzeczywistej wartości wcześniej czy później zgodnie robiły kłapę. Mogłaby coś o tym powiedzieć Irena Fenigsen, mózg i serce kabaretu „Poddasze”, mógłby coś powiedzieć Mieczysław Stefanis, dziś dyrektor Estrady Łódzkiej, a od lat reżyser i czołowy wykonawca kabaretu „Kpiarz”, pomyślano zresztą jako impreza objazdowa. Mają też niejakie doświadczenia Waldemar Wilhelm i Henryk Józwiak, którzy w różnych okresach reżyserowali programy kabaretu w kawiarni „Agawa” — przetrwał on (a może jeszcze trwa?) niesłychanie długo, jako że wegetował jeszcze w sezonie ubiegłym.

Z rozmysłem wymieniam nazwiska, chcąc sprowokować wymienionych do zabrania głosu, z pewnością jednak nie wszyscy staną do tego szeregowego „apelu poległych”. Nie stanie na przykład mister Henryk Michalski, organizator kabaretu „Czarny kot” w kinie „Polonia” — kabaret egzystował na zasadzie „transakcji wiązanych”, dając najwspanialsze filmy „spod lady” i najstarsze teksty sprzed lat „nastu”, a mimo to (bądź właśnie dlatego) nie cieszył się powodzeniem, co tak zdrażało pana Michalskiego, że wyjechał do USA i stał się tam „prawdziwym impresario”. Ostatnio odwiedził zresztą Łódź — organizuje wyjazd za ocean radiowego „Wesołego autobusu”...

Mógłbym jeszcze wspomnieć redaktora... mniejsza z nazwiskiem, powiedzmy redaktora Ygrekowicza. Ygrekowicz miał przed laty figle w głowie, założył przeto kabaret, może nie zupełnie literacki, ale za to ze strip-teasem, w

kułminacyjnym punkcie, w którym wymownie gasło światło. Impreza miała bazę w lokalu „Savoy”, strip-tease robiła osobiście p. Bożena Darlen (która potem odniosła ponoc oszalamiające sukcesy gdzieś we Włoszech czy na Wyspach Wielkanocnych). — Wszystko na nic, Ygrekowicz — ku niemu zdumieniu współrodaków — tak jakoś sprytnie kabaretem kierował, że musiał nawet do niego dopłacić — zdrażnił się tedy i on także, wziął rozbrat ze sztuką, zaczem napisał dzieło raczej seriozne, które przyniosło mu niejakie profity.

Dosyć jednak plotek. Wszystkie te przykłady zdają się o czymś świadczyć i wydać się, iż w sam punkt trafila

enny, ostrzejszy. Przed półtora rokiem przyjechała do Łodzi Vera Oeschlegel, urodziwa rudowłosa Niemka, znakomita odtwórczyni sonetów Brechta. Mimo reklam i dość częstej w Polsce znajomości niemieckiego, w sali MDK nie zebrało się nawet i sto osób — połowę widowni stanowiły zresztą dzieciaki, spędzone z rozmaitych pracowni przez dyrekcję placówki, która na gwałt chciała ratować sytuację.

Dlatego też nie mogą zgodzić się niestety z Eugeniuszem Kamińskim, który powiada: „...ażeby mógł powstać dobry kabaret, muszą być dobre teksty dobrych autorów, dobrzy wykonawcy, a z publicznością to już będziemy sobie jakoś poradzić”. Bo

JERZY PANASEWICZ

Szansa kabaretu czyli kto dopłaci do snobizmu

p. Maria Kornatowska, która zabierając głos w dyskusji o szansach kabaretu literackiego powiedziała z okrutną szczerością:

„...w Łodzi nie funkcjonują po prostu pewne snobizmy, które są konieczne dla działania takich instytucji jak kabarety literackie. A wynika to z małej prężności, dynamizacji, małego zasięgu promieniowania środowisk artystycznych, jakie tutaj istnieją. Bo właśnie środowiska artystyczne narzucają tego rodzaju snobizmy. Np. w Krakowie, mieście mieszczańskim, należy do dobrego tonu popieranie awangardy artystycznej”.

P. Kornatowska przytoczyła następnie przykład Gilbert Becaud, który w Łodzi nie miał powodzenia tak dokładnie, że trzeba było odwołać imprezę zaplanowaną w Pałacu Sportowym; jest to przykład dość znany, dam więc

przecież — panie Eugeniuszu — miał pan niezłe teksty, jest pan znakomitym (mówię uczciwie) wykonawcą, a z publicznością — w Grand Café chociażby — było nie najlepiej.

Słowem od publiczności zaczyna się wszystko, a że musi być to publiczność lekko przynajmniej „snobizująca się” na kabaret, przeto — tu znów trafiam w tok wywodu p. Kornatowskiej — zacząć trzeba od pobudzenia tego snobizmu. Snob był to wprawdzie zazwyczaj facet, który dopłacał do pewnych ciekawych przejawów życia kulturalnego, my jednak — bogaci codziennym doświadczeniem — spróbujmy może postawić sprawę na głowie i zaczniemy dopłacać do snobizmu. Nie tak może, aby każdy ponurak wkraczający do kabaretu dostawał sto złotych i orchideę do klapy marynarki, ale przez stworzenie imprezy ekskluzywnej i pół-

zamkniętej, kameralnej i raczej drogiej, imprezy podczas której taniec brzucha odbywał się będzie pod cytaty ze Spinozy, a na lampie zostanie wypisane jakieś brzydkie słowo.

Wszystko to oczywiście już było, zdaje mi się jednak, że znów nadchodzi czas na szkolenie mieszczaucha, starego mieszczaucha, nowego mieszczaucha, a nawet tego mieszczaucha, który nie wierzy w to, że jest tylko mieszczauchem!

Ale jeżeli tak, to będzie nam chodzilo o mecenat finansowy i przecież nie „Karuzeli”, która — podobnie jak inne gazety — ma na cele reprezentacyjne i inne ekstrawagancje jakieś sto złotych kwartalnie...

Tu trzeba rozpruć jakąś kasę, a kasa taka jest i to nie gdzie indziej, a w gastronomii. Cytuję biuletyn informacyjny Stowarzyszenia Autorów „ZAKS”, numer 11, październik — grudzień 1965, str. 149:

„Łączne wpływy z tytułu dodatku rozrywkowego w czte rech lokalach w Łodzi w roku 1964 wyniosły okragło 572.000 zł, natomiast wynagrodzenia autorskie — tylko 24.700 zł”.

Łódź nie zainkasowała zresztą zbyt wiele, bo w tymże okresie wpływy z jednego tylko krakowskiego „Feniksu” wyniosły 900.000 zł, a warszawskie hotele „Bristol” i „Europejski” uzbierały blisko 3,5 miliona, a nie będziemy się już chandryczyć o gupie pół miliona w tę czy tamtą stronę. Jakby n'e patrzeć (pamiętajac nawet, że gastronomia płaci honoraria orkiestrom i ewentualnym solistom) w gastronomii muszą pozostawać pewne nadwyżki, które winny być zainwestowane w rozrywkę, tak jak inwestuje się na przykład w brudno-buraczkowo-amarantowe fraki dla kelnerów z „Halki”.

Inwestycja ta w jakiejś perspektywie powinna się zwrócić, pewne nawyki można u publiczności wyrobić — ostrzegam jednak: z pewnością nie nastąpi to szybko, a nasza zabawa w kabaret przez lata całe może przypominać trykanie łbem o ścianę. Na szczęście ściany nowoczesnym budownictwie nie są tak solidne jak mury średniowiecznych zamków!

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Graja w kunsch western Roberta Parrisha: „Osiodłać wiatr”. Jest to film okrutny, ale piękny; wstrząsający i chwylami perfidny, ale prawdziwy. Jest to jeden z najlepszych westernów, jakie były na naszych ekranach. A może nawet najlepszy.

Tradycyjne rekwizyty — konie, demoniczna kobieta, soczyte pienery, zbój-rewolwerowiec, ballada i walka dobrego ze złem. Zaskakująca, pełna spieć akcja — parę klasycznych pojedynków, parę trupów i dużo emocji. Ale w filmie Parrisha są nietragedyjne, świeże dla westernu kryteria mo-

ralne. W „Vera Cruz” i „Siedmiu wspaniałych”, w całym długim rejestrze kowbojskich epeów — wolno zabić człowieka. Był fair play — nie z tyłu i w własnej obronie. W filmie Parrisha chłopak, który zabił w pojedynku bandytę — sam zostaje bandytą w oczach praworządnych obywateli. W filmie Parrisha nie wolno strzelać: ani w obronie własnej, ani w obronie swoich bliskich, ani w obronie swojej ziemi. Tak chce prawo. Tylko że prawo — sływy starzec o ponurej twarzy — też nosi pistolet u pasa i karabin w dłoni, też potrafi prowokować i potrafiłby chy-

ba nawet zabić, ale mu się nie udaje.

Film Parrisha jest opowieścią o miłości brata do brata. Jest także pojedynkiem dwóch aktorów, którzy tych braci kreują. Robert Taylor to sławny amant, przystojny, skupiający uwagę kobiet na widowni i na ekranie, unpończulacy spokojem i rozważa John Cassavetes jest dużo niższy, gorzej zbudowany, ponadto wystąpił w roli rozhułkanego m'okosa, stając tym samym na straconej pozycji.

Ale dzieł Johnowi Cassavetes film

nabiera głębokich podtekstów. Cassavetes wymyka się raz po raz intencjom reżysera, stawia pod znakiem zapytania uczciwość „brata” i swiego starca, który uosabia prawo; zadaje k'lam reakcją kobiety, która przyjechała z miasta jako jego narzeczoną, ale gratuluje w stronę Taylora. Taylor w tym filmie wychodzi na porządnego człowieka, a Cassavetes na bandytę. Taylor w tym filmie odnosi zwycięstwo. Ale pojedynk dwóch aktorów kończy się sukcesem Cassavetes, który stworzył wstrząsającą, urzekającą, pełną ekspresji postać.



Twórcą „Fanfana”, „Lizystraty” i innych filmów przygodowych, Christian-Jaque, nakreślił według powieści Jean Laborde swój pierwszy kryminał i trzeba przyznać: zadebiutował w tym gatunku z pełnym powodzeniem. Christian-Jaque zrobił film kryminalny, ale nie wolny od problemów, film efektowny, ale nabrzmiały demaskatorską treścią. Atak reżysera w „Zbrodni doskonałej” wymierzony jest przede wszystkim przeciw palestrze, przeciwko pewnemu typowi adwokata — rzutkiego, inteligentnego, wymownego, ale broniącego z pobudek osobistych kłamstwa i zbrodni, występującego z całą świadomo-

ścią i bezwzględnością przeciw prawdzie. Adwokat Cassidi (gra go, zresztą doskonale, Pierre Brasseur) nie waha się oskarżać z powodówwa cywilnego Boga ducha winną kobietę, nie waha się przed nieczym. Ma przeciwników w osobach młodego, uczciwego, ale nieśmiałośczonego obrońcy Philleta (Umberto Orsini) i sędziego śledczego Gaudeta (Bourvil). Gaudet jest doskonałym prawnikiem, ale w dochodzeniach kieruje się usłownymi przez prawo regulami, jest uczciwy i nigdy poza te rezultaty nie wykracza. Adwokat Cassidi jest typem owakniaka. Ma na usługi potężny aparat urabiania opinii publicznej, prasę i te-

lewizję, ma ogromne zdolności aktorskie i niebysową beczelność. Potrafi drobniagowo przygotować klienta do złozenia zeznań w sądzie, zna cały repertuar kruczków prawnych, trików i wybiegów. Jest groźnym przeciwnikiem Gaudeta i prawdy.

„Zbrodni doskonała” można oglądać jako film rozrywkowy. Urzutymany w posępnej szarej tonacji — ma przecież wiele elementów komicznych. Ciekawy, dowcipny dialog, znakomite sceny ki obyczajowe, dynamiczny tok wydarzeń... „Zbrodnia doskonała”, choć mordercę poznaliśmy już w pierwszych sekwencjach, ma zaskakującą

pointę. Ponad to — gra tu przecież Marina Vlady i Catherine Dupre. Ale, mimo wszystko, jest to bardzo gorzki film. Christian-Jaque nie interesuje się problemem zbrodni doskonałej, nie przykłada zbyt wielkiego znaczenia do postaw moralnych ludzi niezwiązanych z sądem; wszystko to można w jego filmie znaleźć, bo wymaga tego plastyka obrazu, ale zasadniczym problemem wokół którego krąży reżyser jest zagadnienie uczciwości adwokackiej. Rutynowany adwokat potrafi zadzwierć z prawa. Potrafi podeptać prawdę. Christian-Jaque przekonuje nas o tym.

MACIEJ WYSOCKI

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

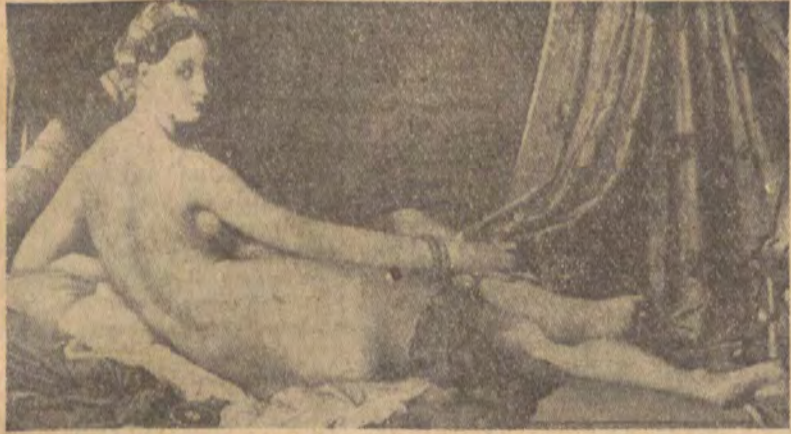
INGRES I JEGO CZASY

Pod takim tytułem z okazji przypadającej w tym roku setnej rocznicy śmierci Ingresa odbywa się w Montauban, gdzie urodził się malarz, wystawa jego dzieł oraz dzieł współczesnych mu artystów. W październi-

środku wyrazu pozostając wierny surowym zasadom francuskiego klasycyzmu. Maluje sceny historyczne, akty, portrety.

Wystawa w Montauban oprócz płócien Ingresa pokazuje również obrazy jego uczniów, jak i szkoły Delacroix z nim

pisali bracia Goncourt, a współczesny malarz karykaturzysta przedstawił ich obu na placu boju z wymierzonymi różnicę ku sobie kopiami. Na tarczy klasycysty Ingres widniał napis: „Niech żyje linia!”, na tarczy zaś Delacroix: „Linia — to farba!”.



J. A. D. Ingres: Odaliska (1814)

ku zostanie otwarta wielka wystawa obrazów Ingresa w Luwrze. Jean-August-Dominique Ingres urodził się w 1780 roku. Był uczniem Davida. Później, niewolniczo naśladował swego mistrza, później wypracowuje sobie własne

samym na czele. Bowiem Delacroix, przedstawiciel romantyzmu i Ingres, przedstawiciel malarstwa klasycznego stanowią dwa bieguny twórczości plastycznej ubiegłego wieku. „Dwa boje zawolania sztuki to „Ingres” i „Delacroix” —

Obydwaj i Ingres i Delacroix wywarli znaczny wpływ na późniejsze francuskie malarstwo. Aż do naszych dni zagadnienie przeciwstawności koloru i linii znaczą się żywo w malarstwie francuskim.

JOHN GALSWORTHY ZNOWU POPULARNY

Najznakomitszym dziełem Johna Galsworthy'ego (1867—1933) jest bezspornie powieść „Saga rodu Forsytów”, w której znakomity pisarz zarysował zmiernych angielskiej burżuazji.



John Galsworthy

Galsworthy dzięki tej książce zdobył sławę, zaszczyty i pieniądze. W roku 1932 został laureatem nagrody Nobla.

Wkrótce jednak po śmierci pisarza jego popularność stopniowo słabła i dopiero ostatnio John Galsworthy znowu budził znaczne zainteresowanie. Angielska telewizja nadała „Sagę” w 23 odcinkach po 50 minut każdy. Film przygotowany dla telewizji ma być sprzedany w Belgii, Holandii, Australii i Zambii. Ogłoszono też, że BBC nada „Sagę” przez radio, tym razem w 48 audycjach.

Wraz z ostatnio rzbudowanym zainteresowaniem dla dzieła Galsworthy'ego ukazały się trzy książki w języku angielskim o wielkim pisarzu. Napisali je biograf, siostrzeniec i przyjaciółka pisarza (Dudley Barker: „The Man Of

Principle”, Rudolf Sauter: „Galsworthy The Man”, Margaret Morris: „My Galsworthy Story”).

Biograf, Dudley Barker zajmuje się dość szczegółowo życiorysem pisarza i wpływem jaki miały osobiste przeżycia autora „Sagi”, zwłaszcza jego miłość do Ady, żony swego kuzyna Artura, którą mu pisarz oddał, na losy powieściowych bohaterów. Barker wprowadza pewne dość ważne korektury do życiorysu pisarza, jakie dotąd pozostawili nam inni jego biografowie. Nowe elementy do wiedzy o pisarzu wprowadza też książka wspomnieniowa byłej tancerki, dziś już 76-letniej Margaret Morris.

W roku 1910 według relacji Morris, gdy pisarz miał 43 lata ona zaś była 19-letnią tancerką wywiązał się mi-

ędzy nimi romans trwający aż do wyjazdu Galsworthy'ego z żoną do Ameryki. „Z dwójga złego musimy wybierać mniejsze” — pisał do tancerki Galsworthy, uświadliwiając się z nagłego wyjazdu i dodawał: „Ada znowu przysłała, tyle ile przed tym straciła — 16 funtów. Trywialne!”

Margaret Morris jest przekonana, iż romans z nią sprawił, że pisarz nie stał się całkowicie mieszcuchem.



Margaret Morris

RENE MAGRITTE NIE ŻYJE

Słynny malarz belgijski, René Magritte zmarł w Brukseli w nocy z 16 na 17 sierpnia. Urodził się w roku 1898 w Lessines w Belgii. Pracując w wydawniczym tapet w Brukseli cały swój wolny czas poświęcał twórczości. Od

roku 1926 zajmuje się już wyłącznie malowaniem i odtąd wystawia swe obrazy w wielu krajach. Przebywając przez pięć lat w Paryżu „przyjaźnia się m. in. z Paul Eluardem. Magritte ulega kolejno panującemu kierunkom malarstwu, jest kubistą, futurystą, ekspresjonistą. W latach 1927 do



Magritte: Mężczyzna w kapeluszu

1930 staje się jednym z najbardziej aktywnych surrealistów.

Pozostając pod silnym wpływem André Bretona, Magritte nie ulega jednak metodom zachwalanym przez „papierza surrealizmu”. Ma jednak dla niego zawsze wiele szacunku i uznania. Przed niespełna rokiem, gdy zmarł André Breton, Magritte powieści o nim: „Niestety, zamknął już oczy, ale nie można zapominać, że jego myśl odnajdywała prawdę, poprzez poezję, miłość i wolność”.

Magritte wynalazł jednak i rozwinął własną metodę twórczą i znalazł własne środki artystycznej wypowiedzi. W świecie rzeczywistym, w przedmiotach codziennego użytku, zwykłych i banalnych, które po swojemu zestawiał i formował, odkrywał poezję i zagadkowość świata.

DIAMENT I STRUS

„Gwiazda Południa” utworzył Jules Verne'a zostając zekranizowany przez angielskiego reżysera Sydneya Hayersa. Jest to historia strusia, który pokonał diament i z tego powodu jest obiektem poszukiwania i staje się bohaterem szeregu przygód.

„GŁOS NURKA”

Taka jest nazwa ukażącego się we Francji pisma dla nurków. Osobliwością tej gazety jest to, że można ją czytać pod wodą, jest bowiem trudna do rozdarcia, lekka i całkowicie odporna na wilgoć. Pismo wydawane w 10 tys. egzemplarzy sporządzone jest z białego, nieprzezroczystego polietylenu.

LISTY OSKARA MIŁOSZA

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Oskara Miłosza ukazał się pierwszy zeszyt wydawnictwa poświęconego twórczości poety, z okazji 90-lecia jego urodzin. Zeszyt zawiera o ostatnich latach życia poety oraz niewydaną dotąd korespondencję Miłosza ze swą przyjaciółką baronową de Tinan.

Przypomnijmy, że Oskar Miłoz (1877—1939) poeta, dramaturg i eseista uchodził za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego symbolizmu. Urodził się na Litwie, przybył do Francji w roku 1899, gdzie naturalizował się w roku 1930.

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

RUMUNII DZIEJE NIEŁATWE

Do niedawna ktoś chcący zapoznać się szerzej z dziejami Rumunii, nie odwołując się do obcojęzycznej literatury miałby trudne zadanie. W dotychczasowej naszej historiografii nie było bowiem przycię obywatela, który lub chociaż jakiś większy okres dziejów tego jednego z naszych długoletnich najbliższych sąsiadów. W tej sytuacji przypuszczam, że wielu czytelników o stosunki polsko-rumunskie w przeszłości nie potrafiliby powiedzieć wiele, więcej ponad to, że w Rumunii w okresie dwudziestolecia międzywojennego i lat II wojny światowej panowali królowie Karol II i Michał I, że w 1939 roku resztki armii polskiej opuszczały kraj i przysiółkowi zaleszczycką szosą udawali się do Rumunii. Być może pytany przypominałby sobie płk. Aleksander Cui i to, że w Moldawii panowali gospodarowie. I na tym chyba zakończyłyby się wiedza przeciętnego naszego rozmówcy o dawniejszych dziejach Rumunii. Dobrze się więc stało, że Wiedza Powszechna wydała książkę płóca łódzkiego historyka Zdzisława Spieralskiego

wypełniająca choć częściowo dotkliwą lukę w historiografii polskiej. Tytuł książki „Awantury moldawskie” intryguje i budzi zainteresowanie. Podobnie intrygują tytuły niektórych rozdziałów: „Wojna, której nie było”, „Kontredans na tronie”, „Krwawa swata” i „Domna Rozanda”. W tytułach tych tkwi pewna sugestia, że w treści książki znajdzie się coś z kondotierstwa, hochsztaplerstwa i romansu. Rzeczywiście wiele takich historii Spieralski przedstawia. Dodaje to książce smak i lekkość i jest konieczne ze względu na ogrom materiału fotograficznego, który bez tych wstawek byłby może nieco nużący.

W zasadzie jest to jednak książka dająca rzetelną wiedzę o historii w okresie ponad trzystu lat, poczynając od wieku XIV a kończąc na wieku XVII. Trzeba przy tym pamiętać, że Moldawia odegrała w procesie zjednoczenia historycznych ziem rumuńskich taką rolę jaką Piemont odegrał w procesie zjednoczenia Włoch. Czasy poprzedzające wiek XIV i późniejsze do utworzenia w 1852

roku niepodległego państwa rumuńskiego i uznania go w 1878 r. na mocy pokoju w San Stefano przez Turcję przedstawia autor w sposób encyklopedyczny.

Wybór owych trzech wieków jako czasu akcji książki autor uzasadnia ożywionymi wówczas kontaktami politycznymi i kulturalnymi Polski z Moldawią najaktywniejszą wówczas politycznie z trzech historycznych rumuńskich krain (Moldawia, Wołoszczyzna i Siedmiogród). Książka nie jest więc w ścisłym tego słowa znaczeniu historia Rumunii, ale w kontekście stosunków moldawsko-polskich tę historię prezentuje.

Niech jednak czytelnik nie weryfikuje deklaracji autora, że książka traktuje tylko o stosunkach moldawsko-polskich. Zbyt wielu bowiem było w tym czasie zainteresowanych losami Moldawii i pragnących jej kształtować. Zbyt wielu dążyło do podporządkowania sobie Moldawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu i roztoczenia kontroli nad ważnymi szlakami handlowymi i strategicznymi, by można było stosunki moldawsko-polskie wyzłozować z całością gry dyplomatycznej toczącej na obszarze Europy wschodniej, południowo-wschodniej a nawet i środkowej. Autor zresztą prezentuje przebieg tej złożonej rywalizacji nie tylko dyplomatycznej ale wielokrotnie i zbrojnej między ówczesnymi potęgami

mi tego rejonu Węgry, Polska, Moskwa, Turcja i Austria. Jak widać nie było jakie tuż otaczają maleńką Moldawię i Wołoszczyznę i chyba tylko dzięki temu i zachowującej się między nimi równowadze się udawało się dość długo Moldawii zachować formálną niepodległość. Jak wynika z recenzowanej książki nie było to jednak łatwe i wymagało nie tylko jakichś talentów dyplomatycznych i przebiegłości ze strony gospodarów. Sytuacja taka sprzyjała równocześnie rywalizacji, między zwoleńnikami różnych orientacji i otwartym konfliktem wewnętrznym, stwarzając preteksty do jawnej bądź zakamufowanej interwencji sąsiadów. W konsekwencji w niektórych okresach gospodarowie zmieniali się niemal tak często jak gabinety w przedauilistowskiej Francji. Tylko forma tych zmian była nieco inna. Odbywało się to raczej — tak pisze Spieralski — w wymiarach „antycznych tragedii” czy dramatów „Szekspira”. W tym klimacie rozwinęły się różne linie polityczne o posmak awanturniczym a otwierało się pole do działania dla awanturniczych jednostek. Jednym z takich awanturników z Janowi Jakubowi Heraklidesowi Basilikosowi, synowi kreteńskiego marynarza udało się nawet opanować tron hospodarski.

Ciekawa są w tej książce partie poświęcone wrażliwym kontaktom kultu-

ralnym i wpływowi kultury polskiej na Moldawię. Nie był on co prawda tak silny jak wpływy ruskie, znacznie starsze, ale niemniej był dość znaczny. Książka Spieralskiego ma charakter popularnonaukowy. Autorowi udało się szczęśliwie uniknąć suchych akademickich rozważań. Czynniki książkę komunikatywną — mimo że ogromne nagromadzenie faktów zmusza do uważnego czytania. Równocześnie nie pozwala to autorowi na przekazywanie czytelnikowi w sposób niemal nie dostrzegalny pewnych nowych poglądów przeczących potocznej na ten temat wiedzy. Należy do nich zaprzeczenie przysłówu, że „za Obrachta wyginęła szlachta” oraz obalenie mitu o „Polece od morza do morza”. Co prawda w całej książce ani razu nie pada słowo polemiki na ten temat, ale z treści całej książki wynika jak nikłe były wpływy Polski w Moldawii i jak niekonsekwentna polityka Rzeczypospolitej w tej sprawie. Wydaje się, że sam autor nie dostrzegł tej funkcji swej książki, bo gdyby było inaczej to chyba w zakończeniu znalazłoby się kilka słów oceny oficjalnej polityki polskiej w stosunku do Moldawii. Sugeruje to co prawda dość wymowny tytuł książki, lecz tylko sugeruje, ale nie wyjaśnia. Nie jest również w tym wypadku dostatecznym wyjaśnieniem motywacja tytułu dana na str. 14.

Książka jest pouczająca jeszcze pod jednym względem. Na przykładzie Moldawii widać wyraźnie od jak wielu czynników zależy jest samodzielny byt państwowy małych państw, otoczonych przez wielkich sąsiadów.

Wszystko to o czym pisze Spieralski jest dla czytelnika mało lub nawet wcale nieznanym i być może przez to niezmiernie interesującym. Już samo sucho, kronikarskie zestawienie faktów tworzy niezwykle barwny i dramatyczny obraz dziejów Moldawii. Jeśli dodamy do tego, że Spieralski potrafił to kronikę faktów ciekawie komponować, wiązać z całością kształtem wydarzeń politycznych w ówczesnej Europie i barwnie opisać te same fakty, że do przeczytania tej książki zbytnio zachęcać nie będzie trzeba. A komu bym specjalnie radził przeczytać? Ponieważ sezon turystyczny jest w pełni i wielkie zastępy Polaków szykują się na wyprawę do Rumunii, to wszystkim specjalnie tę książkę polecam. Niech sobie uprzytomnią, że nie są pierwszymi Polakami „najeżdżającymi” Moldawię i Wołoszę i by, jeśli zajdzie tego potrzeba lub zrzeczna okazja potrafili oświecić Rumunów zasobem wiedzy o historii ich ojczyzny.

*) Zdzisław Spieralski — „Awantury moldawskie”, Warszawa 1967, str. 215;

POLONICA

POLSCY SATYRYCY NA LAMACH „LITERA TURNOJ GAZIETY”

W numerze „Literatury Turnojskiej” znalazły się utwory polskich satyryków pod wspólnym tytułem „Humor polski”. I tak: A. Potemkowski — Popularność, F. Dereckiego — Odpowiedzialność, H. Bardijewskiego — Pojezynek, J. Oseki — Ile to jest 2x2?, J. Rutkowskiej — Metafora oraz wybór myśli S. J. Leca.

Oprócz tego są reprezentowane rysunki Szymona Kobylińskiego i kilka humoresek pod wspólnym tytułem „Rogli i kopyta”.

Przekładów dokonali: M. Pawłowa, W. Buricz, I. Mickiewicz, Z. Szatałowa, M. Geller, A. Firtenberg i M. Landman. (E.I.)

POLONICA Z CSRS

Ostrawski „Głos Ludu” z dnia 4 marca br. przynosi dwie wiadomości poświęcone sprawom kultury polskiej. Pierwsza z nich dotyczy polskiego teatru szkolnego w Sušej Górnjej, który co roku wystawia minimum jedną sztukę teatralną (w minionym dwudziestolecu — 32 premiery i 53 przedstawienia). Obecnie odbyła się premiera sztuki J. Wilczka pt. „Lampa Aladyna”.

Ten sam dziennik, w swym dodatku kulturalnym zamieścił wiersz Juliana Przybosa — „Póki my żyjemy”, oraz felieton Andrzeja Oseki na temat malarstwa artystów tzw. „rymitywów” (Ociepka, Nikifor) oraz na temat produkcji mąsowej kiczów sprzedawanych na jarmarkach i odpustach. (E.I.)

WYSTAWA WIELKIEJ FOTOGRAFIKI W ZSRR

Wystawa pt. „Mistrzowie fotografii PRL” została niedawno otwarta w stolicy Łotwy — Rydze. Ekspozycja się na niej ponad sto prac członków Związku Polskich Artystów-Fotografików.

Na otwarciu byli obecni: rada kulturalna ambasady PRL w Moskwie Andrzej Wałatek, attaché handlowy PRL w Moskwie Henryk Misztela oraz kierownik Moskiewskiego Oddziału PAP Bronisław Majtaczak.

Z pracami naszych fotografików dotychczas zapoznali się mieszkańcy Moskwy i Leningradu. Z Rygi wystawa została przewieziona do Tallinna i Wilna. Wystawa eksponowana obecnie w ryskim Domu Twórców, cieszy się olbrzymim powodzeniem. (E.I.)

POLSKI NUMER „ODJEKA”

Ukazujący się w Sarajewie dwutygodnik „Odjek” (Echo) swą ostatni numer (z dnia 1—15 sierpnia br.) poświęcił w znacznej części sprawom polskim. W numerze znajdujemy artykuł Marka Jaworskiego o problemach kultury na wojnie, Tadeusza A. Zielińskiego na temat „Krytyka a nowa muzyka”, zaś Aleksander Malachowski snuje rozważania o sprawach radia i telewizji. W numerze znajdują się ponadto: opowiadanie Stanisława Stachury, artykuł Jerzego Grolowskiego o teatrze młodego pokolenia, mała rozprawka Witolda Doroszewskiego o „Horizontach współczesnego językoznawstwa” oraz „Kariki z dziennika” Jana Parandowskiego.

POLONICA

Kiedy biją w werble

Przyjechał cyrk. Kilkadziesiąt wozów sprzężonych z traktorami. Rozłożył się gdzie zawsze... pomiędzy halą targową a ulicą Pabianicką, między wylotem Piotrkowskiej i wielkim, zbrojnym w neony gmaszyskiem Motozhytu.

Przyjechał cyrk; w ruchliwym, zapracowanym punkcie miasta pojaśniało jak w niedzielne popołudnie. Zjawili się przepuknie z odpustowym towarem, ruszyło wesołe miasteczko. Z megafonów nadają przeboje. Nancy Sinatra zanosi się śpiewem. „Te buty służą do spacerów”... w opatańczym rytmie wiruje diabelski młyn, krąży karuzela, fałuje ludzkie klebowisko. Na strzelnicach suchy trzask z wiatrówek: postrzelony zajac, fika kozła. W gabinecie krzywych luster dandy ze śródmięścia trzesie się ze śmiechu, bo zobaczył na lewej głupia gebe. „Te buty służą do spacerów”... śpiewa córka Sinatry i ludziom rajcuje. Elita z Górnej ciągnie piwo zgadzając głowę w słońce. Książę Bigos w tradycyjnej onrychówce, szef górniackiej hototy, aż sapie z zadowolenia, aż się solo w tany puścił, a potem raptownie zmarmotniał, gdy milicjant z psem przeciągnął, i wilczur szorował nosem po ziemi jakby tropił złodzieja.

Przyjechał cyrk i wesołe miasteczko. Wyje z głośnika latorośl Sinatry. Juuuu ha! — pokrzykuje dzikarsko młodzież. Przykurzone dziecięca tasiują się w biegu. Tam z tytu, na zwirowatym placu, wśród zieleńki, chwastów i zdeplanej trawy, obok dziury w cyrkowym parkanie — wysmotrucane pachole trzymają kozę na sznurku, a drugi chłopczyk ómi jak stary poźółkłego peta popuszczając dym uszami. W namiotach pomrukują sennie lwy a malcy do siebie:

— Ty, takie bydlę, to może narobić szkody, co nie?...

— No masz — przytakuje ten z palem. — Twoją kozę, to na jeden raz...

Lew akurat warczy, więc ten z kozą popatrzy na dziurawy parkan z niejaka obawą; tamsi przybrudzona rączka wysłuchane porcięcia. Ale mówi:

— Eee, na jeden raz, to nie...

Na cyrku żerują szarlatani. Gość z loterią fantową się znalazł.

— Tu kanada! każdy szczęście bada. Puknij paniąka perliczkę w ogonek, a wygrasz złoty pierścienek.

Zebrak kiwa się z czapką miarowo i odprawia smętne korowody. Pewien reżyser filmowy, swojako przebrany (dla niepoznaki — he, he!), szuka w tym młyńcu natchnienia i wybaluszając zadziwione oczy, smakuje już w duchu swoje arcydzieło.

Tłok przy wejściu i tłok pod kasami. Z radia i telewizji nadają akur sopocki festiwal. Ale cyrku ta

impresja nie ukrzywdzi. Pójdź ze mną. Ja cię poprowadzę. — Pomiędzy wozy żółte i namioty. Każdy taki wóz, to mieszkanie dla dwu rodzin. Przez siedem miesięcy w roku, od pierwszego kwietnia do końca października, od pierwszego ciepła do pierwszych przymrozków — żółta buda na kółkach spełnia rolę najważniejszą: jest domem, siedliskiem rodzinnym uczuć, trosk i radości. Dwa, albo i trzy łóżka pod ścianą, mały stolik z wzorzystą serwetą, radio, czasem telewizor, czasem nawet samochód pod oknem... na dworze rozciągnięte sznury, powiewa wyprana bielizna, non irony, bluzki i fatalaszki dziecięce... przez uchylone drzwi widać ludzi przy kolacji — kobiety w szlafrokach, mężczyźni w domowych papuciach; niektórzy stroją się do występów, pudrują, szminkują twarze, komik i akrobata, J. Kordium, opatruje kontuzjowane nogi, znakomity żongler radziecki, Albert Piotrowski, człowiek, który poświęca na trening pięć godzin każdego dnia, wyszedł na plac i powtarza numer z dziesięcioma kolanami wprawiając w osłupienie słych nawet cyrkowców. Ten trik — mówi — jest trudny i na arenie nigdy nie ma człowiek pewnością: wyjdzie, nie wyjdzie.

A czy akrobata który przelatuje pod kopułą namiotu i chwytą w ostatniej chwili drażek, albo ręce partnera — łowika ma tę pewność?

Czy kierownik zespołu Hazowych, fenomenalny skoczek rosyjski jest przekonany, że mu się dzisiaj powiedzie salto na blaszanych szczydach?

A co myśli przed występem pogromczyń lwów, Irina Bugrimowa, znana nam wszystkim bohaterka filmu „Tygrysy na pokładzie”?

Zbliża się godzina wielkiej próby. Publiczność wali jak w dym wszystkimi wejściami. Gdzieś za brezentową ścianą stoi się orkiestra. Światło jupiterów pada na arenę, skamla z podniecenia mali chłopcy.

2.

W kancelarii cyrku zadzwieczał telefon.

— Z dyrektorem, proszę...

— Przy aparacie.

— Chciałem się zaangażować.

— A co pan umie?

— Umie mówić.

— To słyszę.

— Umie jeść, pić, spać, odnosić i przynosić, dodawać, odejmować i liczyć do tysiąca.

— Panie, to potrafi każdy człowiek.

— A kto panu powiedział, że ja jestem człowiek? Ja jestem pies!

— I co? — pytam dyrektora Zabłockiego. — Zatrudnił pan tego psa?

— Nie. Obrzucił się rzucił słuchawkę i wcale nie przyszedł.

Ambitny ten naród cyrkowy. Obrza za się o byle głupstwo. Pies, gdy go porówna do człowieka. Człowiek, gdy go porówna do sportowca.

— Jaka jest różnica między sportowcem a artystą cyrkowym?

Odpowiada pewien znany akrobata:

— Z wyjątkiem tresury, prawie każda dyscyplina cyrkowa ma swój odpowiednik w sporcie wyczynowym. Nie trudno znaleźć sportowe

pokrewieństwo dla figurowej jazdy na wrotkach, dla ćwiczeń gimnastycznych — trapezów, reków, sprzężonych poduszek, skoków, salt i piramid. Ale istnieje zasadnicza różnica: zawodnik bijący rekord świata, na przykład w podnoszeniu ciężarów nie musi nanowić nad swoją twarzą, może się pocić, krzywić, złościć, zaciskać zęby, wydawać jęki i okrzyki. Artysty cyrkowemu robić tego nie wolno. On gra, kreuje pewną postać; nawet wówczas, gdy dźwiga na swoich barkach piramidę ludzkich ciał i omdlewa z wysiłku — musi się uśmiechać, zacierać przed widownią przykre wrażenie zmęczenia. To odwieczne prawo cyrku...

To słowa znanego akrobaty, który nie mówi o sobie inaczej jak: artysta.

Ale ja myślę, że różnica pomiędzy sportem a cyrkiem, pomiędzy cyrkiem a innymi galeziami sztuki — tkwi gdzie indziej. Wyznacza ją strach. I jego pochodne — napięcie z dnia na dzień nerwy, podniecenie, ponure wspomnienia wypadków. Przestańmy się oszukiwać. Żaden sportowiec na boisku i aktor



na scenie — nie ryzykuje świadomie życiem. Natomiast pierworód cyrku wywodzi się z największego zagrożenia, jakim jest zagrożenie istnienia. Rzymski cyrk i hiszpańska corrida — areny śmierci. Gladiator i torreador walczyli o stawkę najwyższą. To było magnesem dla tłumów, gwarantem krwawych emocji, prawdziwej i bezlitosnej walki... Na teatralnych scenach czas to ściele się trup. Na cyrkowej arenie — rzadko, może nawet bardzo rzadko. Ale scena jest tylko lustra, trup z nożem w piersiach zaraz się podniesie, z kałuży krwi, która jest farbą. Niefortunny skoczek albo treser tygrysów może się nie podnieść. Dlatego: „może” wala właśnie tłumy. Tłum kocha prawdziwe ryzyko — choć sam ryzykować nie lubi. Tłum kocha prawdziwych bohaterów, choć sam jest tchórzliwy. Tłum bije ospałe brawa dla człowieka-gumy, który zwija się w kłębek jak wał, ale wiwatuje na cześć akrobaty, co wykrecia pod kopułą cyrku podwójne salto mortale. A gdyby tak jeszcze nie było ochronnej siatki, wtedy tłum rzucałby kwiaty. Byłyby to kwiaty za odwagę i brawurę, ale także — jeśli nie: przede wszystkim — kwiaty za zwycki pojedynek ze śmiercią.

3.

Różnie w cyrku kuglarska muzyka. Raz wychodzi blazen i grzmi gromki śmiech, to znów przygasają światła i w powietrzu drży nieuchwytna nutka smutku. Uśmiech przyklejony do twarzy artystów... jakie to czasem żałosne... co się za tym kryje? Nuda? Rutyniarstwo? Pogarda dla tłumy?

Nieraz znowu przychwień muzyka i dobosz zagra tremolo na werblu, a arena stanie w pełnym świetle i widownia widowska zapowie sztucznie podnieconym głosem:

„Teraz, właśnie teraz...” Może to być seans z lwami — kobieta w obcisłym aksaminowym kostiumie wychodzi na plan. Jest pogodna, beztraska, strzela z bata i kłania się widom. Ona sama za bariera drucianej siatki, i osiem pozornie leniwych bestii, wczepionych pazurami w ścianę klatki. Dla mnie to nie jest tresura. To zapasy, gdzie człowiek narzuca swoją wolę batem i dragiem. Lwy Bugrimowej nie tańczą, nie chodzą na tylnych łapach; można je, co najwyżej, zmusić do skoku, do przysiadu, do przejścia przez drewniany mostek. Lwy Bugrimowej szczerza nieustannie kły i pokazują pazury. Kostia, samiec z płową grzywą, ciągle się buntuje. Nie zważa na komendę. Na rozkazy. Jest wrogiem człowieka, więc także wrogiem Bugrimowej. Kocim, szybkim jak błysk ruchem zamierza się na bat, na drag, na głowę tresera. Wtedy kobieta w aksaminowym kostiumie strzela go w pysk, z całej siły, raz, drugi, trzeci, aż do skutku, aż się zamie i wykona polecenie. Poem Bugrimowa pławi się w lwach, rzuca je pokotem na arenę, pokłada się na stosie mięśni i spłowiących grzyw, zagłada w paszeczce. Całuje wilgotne chrapy, kładzie sobie wielkie łapska na głowę, wreszcie — bierze zza krat plaster czerwonego mięsa i trzymając w zębach pozwala podejść lwicy i odebrać sobie z ust. Za jej plecami, wbrew reżyserii programu, lwy harują według własnego scenariusza. Samice, jedna po drugiej, garną się do Kostii. Trwa miłosna i dzika idylla raz po raz rozszepczana batem. Kobieta w aksaminowym kostiumie, wtedy gdy widownia drętwieje ze zrozy, trzyma na twarzy nieprzerwany uśmiech, ten odwieczny atrybut cyrkowca.

Och, wredzić się za te maski Bugrimowej. Hazowa, który na monstrałnych szczydach wykonuje kar kolonne salto pod kopułą namiotu, bez siatki ochronnej, zdany tylko na własne szczęście i niebezpieczeństwo, na własną zreczność i niezreczność; wredzić się do serca Marii i Ewy Birnikowych, z których jedna druga, na wysokości kilkudziesięciu metrów, holuje siła szeroką, odpowiedzialną każdym najdrobniejszym gestem za swoje życie i życie słosty. Jak to jest? Może poca się rece i serce ucieka strach? Może są mdłości i po nocach strasza koszmary, albo z pamięci wyłaża wspomnienia nieszczęśliwych wypadków, albo trema i strach nie mieszkała już w tych ciałach i jest tylko doznanie fizycznego bólu, albo nie ma nawet bólu, tylko opętane pragnienie, aby skończyć występ i od razu, z miejsca rzucić to wszystko do cholery, odejść...

Ale oni nie chcą odejść. Strach przed odejściem jest większy, niż strach przed wypadkiem. Cyrk bierze w jasny. Do grobowej deski — mówi. Unikają lekarzy i szpitala, wymykają się badaniom, tają kontuzje, niedyspozycje, dolegliwości, stronia od najkrótszych nawet przerw w występach, bo nawet dwa dni przerwy mogą wybić z rytmu, zmniejszyć precyzję, zwiększyć strach, zachwiać tak potrzebną pewnością siebie.

Przyjdzie wreszcie taki dzień, w którym miśnie odmówią posłuszeństwa. Wtedy alternatywa: pożegnać cyrk, albo przekwalifikować się — wybierając to drugie. Z trapezu na wrotki. Z tresury lwów na tresurę małp. Z liny na blażenski dywan. Przekwalifikował się przesyłany polski kauczuk — Michał Mozes, gladiator-akrobata Wacław Gledroyc, Michał Gryszkiewicz, wielu, wielu innych... Niektórzy, w podeszłych latach, objeżdżają wsie i prowincjonalne miasta tuż tylko jako portierzy, kasjerzy, jako służba porządkowa, ale wciąż jeszcze z cyrkiem, w cieniu areny, w ostatnich promieniach gasnącej sławy. Jeśli czegoś im brakuje — mówią — czegoś żal,

to właśnie owego uczucia zagrożenia, owej chwili, kiedy człowiek pokonuje strach i z jej końcem zostaje bohaterem, zbiera brawa, kwiaty, gratulacje, i uśmiechem maskuje zmęczenie. Ten, kto fruwał na trapezach i był ptakiem, niechętnie schodzi na ziemię — jest wrogiem samego siebie, własnych osłabłych mięśni i zniechęconego ciała, ale ciągle jeszcze kocha cyrk, arenę, światła jupiterów i dźwięki kuglarskiej muzyki, która nieraz gra żałosnie i cicho...

* * *

Skrót ostatnich wiadomości cyrkowych:

Znani polscy komicy — Edward Dworakowski i Jerzy Kordium — wyjadą w najbliższym czasie do USA i Kanady, gdzie występować będą w ośrodkach polonijnych. W Warszawie, przy kole TPD nr 18 w dzielnicy Praga-Południe powstał klub miłośników sztuki cyrkowej, który, jakkolwiek jest organizacją ludzi dorosłych, pracować będzie z dziećmi i dla dzieci. Odnalazł się mowiacy i liczący pies, o którym pisaliśmy wyżej; niestety, w programie cyrkowym nie wystąpi — zatrudnił się do pracy w Towarzystwie Przyjaciół Zwierząt i pełni funkcje starszego buchaltera. 26. VIII. 1967 roku Cyrk Wielki w Łodzi wpuścił bezinteresownie na spektakl 1.000 dzieci z TPD Łódź-Górna; warto dodać, że program ten obejrzało w ciągu kilkunastu dni około 100 tysięcy lodzian. W cyrku „Poznań” występuje gościnnie znakomity kłown bułgarski, Dymitr Sedoy; jest on absolwentem filologii słowiańskiej uniwersytetu w Sofii, studiował także wokalystykę, ale od trzydziestu lat występuje tylko na arenie. Ministerstwo Kultury i Sztuki poważnie myśli o uregulowaniu spraw związanych z emeryturami i rentami cyrkowców. Bawiaca w Łodzi ekipę cyrku radzieckiego zredukowały kontuzje: jeden z członków zespołu Hazowych zatarł rękę kalafonia i podda się operacji, ekwilibrysta Mastowa naderwała mięśnie brzucha, linoskoczek z grupy Artemowych cierpi na wodę w kolanach. Już w najbliższych miesiącach otwarta zostanie w Warszawie Szkoła Sztuki Cyrkowej; uczelnia będzie miała charakter pomaturalny; obok zajęć praktycznych, program nauczania obejmie również teorię i historię cyrku. Wobec licznych zapytań donosimy, że Irina Bugrimowa rzeczywiście kilka lat temu została poraniona w Łodzi przez jednego ze swoich pupilków. Na początku 1968 roku, u podnóża Muzeum Narodowego w Warszawie, powstanie pierwszy w dziejach PRL Cyrk Staly, wyposażony w szatnię, bufet i toalety.

Dyrekcja Cyрку Wielkiego zawiadamia z żalem, że nie jest w stanie wytlumaczyć tajemniczej metamorfozy z kaczora w koźle, ani też w jaki sposób dematerializuje się w powietrzu E. Dworakowski; są to cuda niezbadane, odkryte ścisła tajemnica, niedostępne nawet kierownikowi; atoli nie nie stoi na przeszkodzie, aby widownia dociekała tych spraw własnym sprytem i własną inteligencją.



Lewym okiem

FELETON ROCZNICOWY

Setną rocznicę urodzin Władysława Reymonta, związanego blisko z rejonem Łodzi i z samym miastem, uczciliśmy piękną akademią z samymi licznymi publikacjami w prasie i jednym małym skandalikiem dla wstajemniczych. Trzydziestą rocznicę śmierci Bolesława Leśmiana, też związanego z Łodzią, bo tu był przez pewien czas kierownikiem literackim teatru, nie uczciliśmy niczym, a przynajmniej niczym takim, co by szerszemu ogółowi czytających przypomniało tego przedziwnego, urokliwego, jednego z najbardziej w naszym stuleciu znaczących polskich poetów.

Urodził się Leśmian... Otóż to. Leopold Staff, jego rówieśnik i przyjaciel, we wstępie do „Wyboru poezji” wydane przez „Książkę” w roku... w ogóle bez roku, w każdym razie zaraz po wojnie, podaje rok urodzin — 1878. Mieczysław Jastrun w

przedmowie do „Wierszy wybranych” z 1955 roku twierdzi, że Leśmian urodził się w 1879. Mała Encyklopedia Powszechna — że w 1878. Mały Słownik Pisarzy Polskich, część pierwsza, nie nie podaje. Mały Słownik Rumaczy się w nocie wstępnej, że „składa się w zasadzie z hasel osobowych, obejmujących pisarzy polskich od czasu najdawniejszych aż do narodzin Drugiej Rzeczypospolitej. W tym zestawie znaleźli się także pisarze zmarli później, lecz których osobowość twórcza w progno niepodległości była już w pełni ukształtowana i nie uległa w późniejszych latach żadnym zasadniczym zmianom. Ani Staff, który przed narodzinami Drugiej Rzeczypospolitej zdażył wydać kilka zbiorów wierszy, skończył czterdzieści lat życia, współpracować z wieloma pisarzami i teatrami, ani jego rówieśnik Leśmian nie odpowiadają kryteriom Małego Słownika. Nie ukształtowali się w pełni, więc nie ma o czym mówić. Ukształtował się młodszy o sześć lat Makuszyński, dlatego Mały Słownik poświęca mu osiemdziesiąt wierszy druku oraz Bronisława Ostrowską, według Małego Słownika młodsza o parę lat (urodzona w 1881 r.), według Małej Encyklopedii sporo starsza (urodzona w 1871 r.), natomiast zmarła według Małego Słownika w roku 1928, a według Ryszarda Matuszewskiego („Literatura Międzwojenna” z 1953 r.) — w roku 1929.

W pękającym tomie „Ballad polskich”, wydanym przez przestarzałą, arcyzastępową Bibliotekę Narodową, o każdym ze stu dwudziestu dzieł autorów podano krótkie notki biograficzne, a o sto trzydziestym nie podano. O Leśmianie. Jest dzie-

się jego ballad, jest cały krytyczny rozdział w u- czonym wstępie profesora Zgorzelskiego, nie ma ani słowa o życiu autora.

Wreszcie to nie jest sprawa największej wagi. Kto koniecznie chce, znajdzie całe dzieła poświęcone wyłącznie Leśmianowi, Ostrowskiej czy jeszcze komuś i zaspokozi z detalami swą ciekawość. Nie mogę jednak oprzeć się pytaniu: dlaczego z byle drobniactwem, z najprostszej informacją tyle kłopotów, nieporozumień, błędów, medomówień? I to w publikacjach — że użyję niemieckiego fachowego określenia — typu „Schlag nach...”, czyli „Sprawdź!” Ładnie to nasze sprawdzanie wygląda, skoro musimy je ciągle sprawdzać i ciągle nie wiemy, komu wierzyć!

Jeżeli jakaś data czy tina „zaszłość” nie jest pewna, to niechby nam ją podano jako niepewną, podlegającą dyskusji. Jeżeli publikuje się ją jako niewątpliwą, to należałoby czynić to z należytą ostrożnością, nie żałując grosza i trudu na fachową, drobiazgową korektę.

Tak więc — jak widzicie — uczciłem w miarę moich możliwości rocznicę zgonu Leśmiana. Dziwny i wielki poeta. Rok jego urodzin do mała rzecz. Malutki przykład sprawy, która wydała mi się niebaha: brakorobstwo w zakresie informacji naukowej.

CWIEK